



5/2006 (10)

Wit Pasierbek
Filip Musiał
Ryszard Terlecki
Stefan Filipowicz

Wit Pasierbek

Od redakcji

Minęło już 17 lat od historycznego roku 1989. W Polsce dokonały się bardzo poważne zmiany na lepsze w sferze gospodarczej, ekonomicznej, społecznej, kulturowej. Bardzo intensywnie uczymy się demokracji. Jednakże pozostaje poważny niedosyt, gdy chodzi o „rozliczenia z przeszłością”, o 45 lat komunizmu w Polsce i ciągle wraca to jak bumerang i odbija się „czkawką”.

Instytut Pamięci Narodowej, który powstał do zbadania naszej komunistycznej historii, analizuje kolejne dokumentów, by wyjaśnić całą prawdę. Ale czy „cała prawda” jest możliwa?

Najbardziej badaną grupą społeczną są duchowni i o nich też środki społecznego przekazu najchętniej piszą. I słusznie, bo jeżeli Kościół był, jest i być powinien moralną ostoją narodu, to musi być czysty i wiarygodny. Ale, by było lepiej, byśmy poznali prawdę i na niej życie społeczne budowali, dotyczyć to musi nie tylko Kościoła, ale wszystkich, a przede wszystkim tych, którzy o życiu społecznym w dużej mierze decydują i najwięcej mają do powiedzenia.

W poprzednim numerze „Horyzontów Wychowania” zapowiedzieliśmy ukazanie się opisu dokumentów dotyczących domniemanej współpracy jednego z jezuitów ze Służbą Bezpieczeństwa i o machinacjach tych służb. Dzisiaj to Czytelnikowi udostępniamy. Jest to pierwszy w Polsce przypadek, kiedy pomówiona o tajną współpracę osoba, na własne życzenie, zgadza się opublikować dokumenty na jej temat i do nich się ustosunkowuje.

Prof. Ryszard Terlecki, dyrektor krakowskiego oddziału IPN rzetelnie opracował i opatrzył komentarzem dwie teczki oznaczone sygnaturą 009/7904, zawierające informacje na temat tajnego współpracownika o pseudonimie „Janiszewski”. Obie zostały zarejestrowane w Wydziale „C” Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu tego samego dnia: 23 czerwca 1965 roku, obie zostały opatrzone tym samym numerem ewidencyjnym 7827. I to jest jedna strona medalu.

Druga strona medalu, to dwa artykuły – wyznania ks. Stefana Filipowicza, jezuity, który pod tym pseudonimem został zidentyfikowany. Ustosunkowuje się on do powyższych materiałów. Najpierw w „Liście do o. Prowincjała Krzysztofa Dyrka SJ” zdaje sprawę, zgodnie z własnym sumieniem, z tamtych czasów. Później do akt i opracowania prof. Terleckiego.

Dla jasności oceny Filip Musiał, pracownik krakowskiego oddziału IPN opisał, jakie przyjmowane są kryteria, by kogoś zakwalifikować jako „tajnego współpracownika”, czy „osobowe źródło informacji”.

W poszczególnych tekstach zachowaliśmy oryginalność piśmowni, szczególnie gdy chodzi o akta esbeckie.

Ciągle szukamy prawdy o komunistycznym okresie historii naszej Ojczyzny i tych wszystkich, którzy w różny sposób na jej losy wpływali. W zamieszczonych przez nas materiałach dochodzi poniekąd do konfrontacji pisemnych relacji oficerów SB z żywą relacją ks. Filipowicza w świetle komentarza prof. Terleckiego.

Mamy nadzieję, że ta konfrontacja zbliża nas do prawdy o tamtych czasach.

Stefan Filipowicz

*„Santità, non L’ho tradita mai –
Ojciec Święty, nigdy Cię nie zdradziłem”
Jedna ze stron mojego życia*

Wyjaśnienie dla o. Prowincjała Krzysztofa Dyrka SJ
w związku z pomówieniem mnie w dokumentach IPN
o współpracę z UB

Wielebny Ojciec Prowincjale,

Pax Christi!

W grudniu 2005 r. poinformował mnie Ojciec, że moje nazwisko figuruje na teźce IPN-u z adnotacją „TW”. Odpowiedziałem wtedy, że jest zdecydowanie nieprawdą, bym kiedykolwiek współpracował z UB. Jak się okazuje UB do dzisiaj działa przez swoje manipulowane raporty i niewinni muszą tłumaczyć się z zarzucanych im czynów, których nie popełnili. Dlatego składam na piśmie pełne wyjaśnienie mojej postawy na przestrzeni dziesiętków lat. Zatytułowałem je „Jedna ze stron mojego życia”.

1. Moje życiowe przygody zaczęły się 23 listopada 1934 r. w Szczakowej. Szczęśliwe lata nie charakteryzowały się niczym szczególnym. Ojciec, mistrz ślusarski, pracował w hucie szkła, do dzisiaj żyjąca matka, zgodnie z sugestią proboszcza broniącego Polaków przed konkurencją żydowską, prowadziła „Katolicki Sklep Bławatny”. Mieszkaliśmy u rodziców mamy (mieszkanie: pokój i kuchnia).

2. Nadszedł dzień 1 września 1939 roku. Wojna. Niemieckie samoloty ostrzeliwały, co się dało, wzbudzając popłoch wśród ludności.

Podobnie jak wiele innych, rodzina nasza uległa panice przed nadchodzącym frontem. Niemcy uderzyli na Polskę. Decyzją dziadka ruszyliśmy do ucieczki ze Szczakowej na wschód. Z jego także inicjatywy dołączyliśmy do rodziny Skuzów, któ-

ra miała konia i wóz, oraz do rodziny Bąbów z jednym synem w moim wieku, Zdziskiem. Tak ruszyliśmy w drogę. Szliśmy/jechali w kierunku Olkusza i dalej, chyba aż pod Busko. Dokąd doszliśmy – nie wiem.

Ojciec tymczasem został zmobilizowany w „pospolitym ruszeniu”, a my, tzn. mama i ja oraz 2 lata starszy ode mnie brat mamy, wujek Jasiek, jego ojciec i matka „uciekaliśmy”. Tak się to nazywało. Po co? Do dzisiaj nie wiem. Szkapą ciągnął nasz dobytek z dziećmi, rodzice na nogach, a na niektórych główniejszych szosach wyprzedzały nas zmotoryzowane oddziały Wehrmachtu, przelatywały samoloty niemieckie, ostrzeliwując ciągnące zaprzęgi uciekinierów, takich jak my. Trwało to chyba trzy tygodnie. Dalsza „ucieczka” nie rokowała żadnych perspektyw, więc wróciliśmy do domu, którym opiekowali się krewni, także uciekinierzy, tyle że z Katowic.

Okupacja. Szczakowa znalazła się w Rzeszy Niemieckiej. Mieszkało wśród nas kilkanaście (a może więcej) rodzin niemieckich, trochę spolszczonych Żydów, którzy po prostu byli naszymi sąsiadami bez cienia jakiejś wzajemnej niechęci, znacznie więcej „folksdojczów” i oczywiście my, Polacy, namawiani do zapisania się na „folkslistę”, której ojciec zdecydowanie nie podpisał.

3. Ojciec wrócił z wojska po klęsce wrześniowej i pracował jako ślusarz. Nastąpiły mroczne czasy okupacji niemieckiej nacechowane terrorem i pełną kontrolą głównie ludności polskiej. Często powtarzały się naloty (w Szczakowej były trzy fabryki i ważny węzeł kolejowy), gestapo grasowało, wywoziło młodych na roboty do Niemiec (miedzy innymi moją ciotkę Jankę – później przełożoną generalną siostr albertynek, do dziś żyjącą), trzeba było odrabiać tzw. „szarwark”, oddawać plony rolne... Rodzina moja, głównie babcia i mama, pomagała jezuitom w Auschwitz i Dachau, wysyłając paczki żywnościowe za sprawą mojego wujka Władysława Augustynka, jezuitę, zaangażowanego po latach w „Solidarność” w Nowym Sączu. Do nas, do dzieci docierała jakaś mglista świadomość, że chodzi tu o Polaków uwięzionych przez Niemców.

4. W czasie wojny (nie pamiętam, który to mógł być rok) gestapo skonfiskowało wszystkie żarna w okolicy. Ojciec jednak wymyślił młynek do mielenia zboża na wzór młynka do kawy.

Młynki te piłował w piwnicy i kilka albo kilkanaście takich młynków wymienianych za żywność krążyło „po ludziach”. Babcia po zmieleniu żyta (w czasie tej czynności razem z Jaśkiem pilnowaliśmy, czy ewentualnie gestapo nie krąży w okolicy) chowała młynek w budzie dla psa. Pewnego dnia gestapowiec (chyba nazywał się Grygiel, a był on szczególnie złośliwy wobec Polaków) znalazł u kogoś jeden ze wspomnianych młynków, a że mu się nie chciało go nieść, zgarnął mnie z ulicy – a jechałem wtedy na rowerze – i musiałem ten młynek razem z nim i rowerem odprowadzić na gestapo. Byłem pełen strachu, bo przecież wiedziałem, kto robi zakazane młynki. Na szczęście nie pytali, ale kazali ojcu przyjechać po rower. Młynek oczywiście przepadł, a ojciec dostał po twarzy za to, że pozwala nieletniemu jeździć na rowerze. Puścili go jednak, nie domyślając się, że on właśnie był wytwórcą tych mini-żaren.

5. Lata okupacji to chodzenie do szkoły i pasanie kóz. Z tego czasu pamiętam przynajmniej kilka słów z jednej z piosenek, jakie śpiewaliśmy na pastwisku: „Anglia dużo złota ma, Ameryka bomby da, Hitler wojny nie wygra”. Inne tego typu patriotyczne piosenki były mniej cenzuralne, więc je pomijam. Kiedyś, pasąc kozy z kolegą Marianem, zapaliliśmy ognisko przy drodze za plebanią, niedaleko lasu. Złapał nas gestapowiec i wysmagał po pysku. Ale najbardziej bałem się wilczura, jaki był przy nim.

Tu wypada wspomnieć rok 1944. Koło Szczakowej, w Maczkach, dokąd – jako chłopcy – chodziliśmy się kąpać w Przemszy, Niemcy zrobili przejściowe miejsce „przeładunkowe” dla transportów jadących do Auschwitz z Polakami i Żydami po upadku Powstania Warszawskiego. Korzystając z tego krótkiego czasu, udało się niektórym rodzinom wykupić od strażników kilkoro dzieci. Poszła także moja mama, obiecując że przyprowdzi chłopczyka albo dziewczynkę. Niestety, nie udało się – było za późno, ale jako chłopcy przerzucaliśmy kawałki chleba za kolczaste druty z masą stłoczonych ludzi.

6. Może był to marzec lub kwiecień 1945 roku. Nadchodzili Rosjanie. Front przesunął się raz w jedną, raz w drugą stronę. Niemcy stawiali opór. Niedaleko domu doszło nawet do walki na bagnety – w każdym razie słyszeliśmy okrzyki do ataku.

Dla powstrzymania wojsk rosyjskich Niemcy zmusili ludność do kopania rowów, które miały utrudnić sforsowanie dro-

gi przez Armię Czerwoną. Wrzucali do nich, co się dało. W ten sposób zabrali nam dwukołowy wózek (przednią część niewielkiego wozu, która służyła nam do przywożenia ziemniaków, węgla...).

W ciągu dnia wypatrzyliśmy z Jaśkiem miejsce naszego wózka, a pod wieczór wybraliśmy się, by go z tworzonych zasieków wyciągnąć i zabrać. Udało się, choć gestapo w dalszym ciągu szukało w okolicy elementów do wspomnianego rowu. Mieliśmy świadomość, że może się to źle skończyć, bo przecież Niemcy powiesili publicznie w Szczakowej kilkunastu kolejarzy za sabotaż. I skończyło się źle, ale nie ze strony gestapo, które nas nie złapało, tylko ze strony babci, bo wózek zostawił ślady na świeżym śniegu. Tak więc musiała się zabrać do rozmiatania całej ulicy, by uniknąć podejrzeń, a my za nasz „bohaterski” czyn dostaliśmy potem od niej nauczkę.

7. Przed wyborami (chyba to było w 1946 r.) uczniowie, a wśród nich także ja, musieli roznosić propagandówki: „3 x tak”. Pamiętam do dziś, jak stary kowal dał nam lekcję historii, pytając dlaczego nam nowa władza zabrała Lwów i Wilno. Dowiedziałem się wtedy, co to ten Lwów i Wilno i co to jest ta nowa władza.

Po szkole podstawowej wstąpiłem do jezuickiego Małego Seminarium w Nowym Sączu, gdzie byłem trzy lata (1948-1951). Atmosfera była tam na wskroś patriotyczna, zwłaszcza że w tym czasie była nagonka i likwidowanie klasztorów żeńskich, a w dodatku w Krakowie został złapany kapelan partyzantów o. Władysław Gurgacz, jezuita, i rozstrzelany na Montelupich. W gimnazjum im. Jana Długosza, gdzie byliśmy znani jako „jezuitnicy”, przypominał nam to złośliwie Schabowski, jeden z profesorów.

Do nowicjatu wstąpiłem w 1951 roku w Starej Wsi, a po nim także przez dwa lata dopełniałem ostatnie lata gimnazjum i zdałem prywatną-zakonną maturę.

8. W latach 1955-1958 studiowałem filozofię i zdobyłem licencjat na Wydziale Filozoficznym Towarzystwa Jezusowego w Krakowie. W tym czasie – a był to chyba rok 1957 – zaangażowałem się w harcerstwo z kolegą, także klerykiem, Witkiem Glezmanem. Miałem przygotowanie, bo przed wstąpieniem do zakonu należałem do ZHP.

Moja przygoda z harcerstwem to długa historia, która pokrótce tak wyglądała: Pewnego dnia, chyba pod koniec 1956 roku, po prostu poszliśmy – nie pamiętam, skąd się dowiedzieliśmy – na zebranie programowe Chorągwi Krakowskiej (chyba na Karmelicką), gdzie spotkaliśmy zastępcę komendanta chorągwi Tadeusza Rokosowskiego (pamiętam, że nazywano go „Misiek”), kilka innych osób, w tym niemłoda już pannę Rymarównę, obnoszącą się ze swoją religijnością, bliską znajomą ówczesnego rektora kolegium, o. Jana Popiela. Naczelnik chorągwi Eugeniusz Fik miał być obecny, ale się nie zjawił. Przedstawiliśmy się jako studenci filozofii, a o szczegóły nikt nas nie pytał. W dyskusji braliśmy udział i spotkaliśmy się z życzliwością Rokosowskiego, odpowiedzialnego za sprawy wychowania w harcerstwie. On też polecił nas hufcowemu Starego Miasta, Stanisławowi Rybickiemu. Poproszono nas o objęcie drużyny na Kazimierzu przy szkole (chyba nr 36) na Miodowej, gdzie właśnie drużynowy, niejaki Czurka, siedział w więzieniu za seksualne molestowanie chłopców.

Tak rozpoczęliśmy normalną działalność z drużyną za zgodą dyrektora szkoły, niejakiego Półtoraka, mocno zaangażowanego członka partii. Poza tym uczestniczyliśmy w spotkaniach hufca (chyba na Wiślniej). Mieliśmy także zaproszenie na następne zebranie nt. ideologicznej formacji w Chorągwi Krakowskiej, ale sprawa się „rypnęła”. Panna Rymarówna rozpoznała nas przy służeniu do Mszy św. w bazylice na Kopernika i przekazała o. Popielowi wiadomość, że od jakiegoś czasu działamy w harcerstwie. Ten z kolei poinformował o tym o. Prowincjała (chyba o. Szawana albo pełniącego jego obowiązki o. Sąsiadka), od którego otrzymaliśmy zakaz (poprzez nowego rektora, o. Antoniego Kuśmierza) angażowania się w harcerstwo pod groźbą wyrzucenia nas z zakonu. Wiadomość przekazał nam bezpośredni przełożony o. Ludwik Piechnik. Po półgodzinnym namyśle odpowiedzieliśmy, że na zebranie Chorągwi nie pójdziemy, ale drużyny nie zostawimy, nawet gdyby mieli nas wyrzucić z zakonu. Ojciec Piechnik polecił ostrożność, zapewnił, że w razie czego będzie nas bronił, ale zakaz jest poważny, podkreślił.

Wypada zaznaczyć, że w owym czasie z domu wychodziło się zawsze w sutannie. To samo robiliśmy i my, tyle że podwijaliśmy ją na ustroniu i zawsze na zbiórkach – ja przynajmniej – byłem w letnim płaszczu, tzw. prochowcu, przystaniającym

strój zakonny. Witek przygotowywał się do wystąpienia z zakonu z racji zdrowotnych i przebierał się na cywila u znajomej rodziny dyrektora nadleśnictwa.

Po wspomnianym zakazie złożyliśmy wizytę Rokosowskiemu, przedstawiając się, kim naprawdę jesteśmy. Podtrzymał swoje zaproszenie, mówiąc, że to mu nie przeszkadza. Odpowiedzieliśmy jednak, że rezygnujemy, pozostając jedynie przy drużynie. W ten sposób prowadziliśmy drużynę 36, a także przeprowadziliśmy trzytygodniowy obóz letni pod Łąckiem (chyba w Zarzeczcu) razem z Wieśkiem Kluczewskim, inżynierem, partyjnym dyrektorem szkoły technicznej, poznanym przez o. Piechnika. On miał nas kryć w razie jakiejś wpadki. O wszystkim wiedział o. Piechnik i po cichu nam błogosławił, ułatwiając na różny sposób naszą działalność.

9. W latach 1958-1962 studiowałem teologię i zdobyłem licencjat na Wydziale Teologicznym Towarzystwa Jezusowego „Bobolanum” w Warszawie. Poczynając (chyba) od drugiego roku teologii zaczęliśmy – tzn. Stanisław Wiktor, (który skądś zdobywał „Kulturę Paryską” i potajemnie czytaliśmy ją), dalej Jan K. Jurkowski, (chyba) Roman Darowski i ja, a może jeszcze ktoś inny – chodzić do „Krzywego Koła” na spotkania literackie z autorami. Kiedyś poszliśmy także na zebranie do biura Frankowskiego, (chyba) przewodniczącego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, które szukało młodych, ale z tego nic nie wynikało – nasi profesorowie zauważyli, że mamy zbyt szerokie zainteresowania nie-teologiczne i trzeba było zrezygnować z tej aktywności – poza tym, że właśnie stamtąd (z ChSS-u) dostałem legitymację dziennikarską i jako członek prasy brałem udział w krytycznym dla ZHP zlocie harcerskim w Pałacu Kultury, kiedy to Jacek Kuroń zaatakował i praktycznie definitywnie rozbił Związek z jego ideałami, jakie przekazywał. Zmieniono wtedy także naczelnika ZHP, a akcent w harcerstwie przesunął się ku pełniejszej indoktrynacji w duchu walterowców Kuronia.

10. W czasie studiów teologicznych oficjalnie zajmowałem się również wyświetlaniem filmów dokumentalnych (zwykle przyrodniczych) i fabularnych dla studiujących teologię oraz profesorów. W tym celu zrobiłem państwowy kurs operatora filmowego za zgodą i na polecenie rzymskiego wizytatora o. Walentego Prokulskiego. Filmy dokumentalne wypożycza-

łem w ambasadzie francuskiej, izraelskiej, amerykańskiej, czeskiej, węgierskiej, NRD-owskiej, a może jeszcze w jakieś innej, a fabularne w Centrali Wynajmu Filmów. Chodząc do ambasad (zawsze w sutannie) miałem czasem odczucie, że ktoś za mną się snuje, ale wiedziałem przecież, w jakim systemie żyję, więc nie robiłem sobie z tego problemu.

11. Z ojcem prof. Stanisławem Bajko mieliśmy wykłady o sektach. On też zachęcał nas, byśmy się zapoznawali z niektórymi przynajmniej sektami i Kościołami protestanckimi. Pewnego razu, mając od niego adres, wybrałem się z kolegą z teologii, Tadkiem Wołoszynem, na spotkanie sekty jehowitów. Powitani przy wejściu słowem „Szalom” odpowiedzieliśmy „Szalom” i weszliśmy bez problemu. Było obecnych kilkaset osób. Nasłuchaliśmy się wiele inwektyw przeciw Kościołowi katolickiemu i cieszyliśmy się, że nas nie rozpoznano (byliśmy po cywilu – w Warszawie to było dopuszczalne).

12. Pewnego dnia (chyba późną jesienią), będąc w mieście – a byłem w sutannie – poszedłem na Poczta Główną kupić jakieś nowe wydanie znaczków do kolekcji. Było wczesne popołudnie, zimno i śnieg. Podeszło do mnie dwóch czy trzech smutnych panów (ubeków po cywilu) informując, że są milicjantami i że zabierają mnie do wyjaśnienia jakichś spraw. Opierałem się i odwoływałem, że muszę najpierw zadzwonić do przełożonego, ale nie zgodzili się, zapewniając, że po godzinie wrócę. Tak wbrew mojej woli zaprowadzili mnie do swojego samochodu. Było to porwanie, bo jak to inaczej nazwać! Zostałem zawieziony do Pałacu Mostowskich. Tam po długim oczekiwaniu nastąpiło przesłuchanie. Pytali o sektę jehowitów i pewno jeszcze o wiele innych spraw, i wyraźnie namawiali do współpracy. Podkreślali osiągnięcia Polski Ludowej, możliwości studiów dla mnie, mówili o rozbiciu w Kościele itd. Proponowali danie mi porządnego zegarka, bo miałem od ojca kieszonkowy zamykany na puzderko, grozili, że mam przecież rodzinę, więc powinienem to mieć na uwadze. Nawiasem mówiąc, ojciec nie należał do żadnej partii.

Domagałem się wypuszczenia, bo – powiedziałem rozmówcy – dalszcie panowie przecież słowo oficerskie, że po godzinie wrócę. A tymczasem mijała już chyba trzecia czy czwarta godzina siedzenia.

W dalszym ciągu przesłuchania i namowy. Powiedzieli (używam liczby mnogiej, bo – o ile pamiętam – co jakiś czas funkcjonariusze wymieniali się), między innymi że wszystko wiedzą, że na przykład nie lubię kaszy, bo przesuвам półmisek w czasie obiadu do kolegi. Raz czy drugi przesłuchujący (jak poprzednio po cywilu) otwierał szufladę. Co tam miał – nie wiem, może pistolet, różne myśli przychodziły mi do głowy. W jakimś momencie zwrócił się do mnie z pytaniem: czy wiem, że mój prowincjał ma dwoje dzieci. Zaszokowało mnie, ale po chwili zapytałem spokojnie, czy płaci alimenty, bo prawo polskie nie zabrania księżom mieć dzieci. I dodałem, że jeżeli nie płaci alimentów, to powinni go ukarać sądem i więzieniem. Wtedy nabrałem większej pewności siebie i odwagi. Rozmówca wyraził się zdenerwował, wstał i wyszedł. Wrócił może po dłuższym czasie z protokołem do podpisania. Czytałem uważnie i wyklócałem się o niektóre sformułowania, jakich nie użyłem, a w tekście były. Tak skorygowany protokół podpisałem i po jakimś czasie mogłem opuścić niechlubnej pamięci Pałac Mostowskich. Był mrok, zimno i (chyba) śnieżyło. Wróciłem do domu i zreferowałem rektorowi wszystko, co zaszło. W żaden sposób nie odniósł się do tego. Cała ta przygoda jeszcze jaśniej uświadomiła mi, w jakim systemie wypadło mi żyć.

13. W 1961 roku przyjąłem święcenia kapłańskie, w następnym skończyłem teologię i wróciłem do Krakowa, gdzie w gimnazjum im. Nowodworskiego (lata 1962-1963) zrobiłem maturę państwową „dla pracujących” (jako fryzjer, ponieważ jako ksiądz nie miałem prawa stawać do matury), konieczną do studiów uniwersyteckich.

W tym samym czasie byłem prefektem ministrantów przy bazylice Najśw. Serca Pana Jezusa. Miałem ponad 100 chłopców. Z nimi też na Boże Narodzenie 1962 r. przygotowałem jasełka, które miały miejsce w sali pod zakrytą. Na jednym z pierwszych przedstawień zjawiał się naczelnik Biura ds. Wyznań, Leon Król i jego cień, niejaki Chorwacik (były kapucyn, o ile mi wiadomo). Wkrótce potem otrzymałem wezwanie do Kolegium Karnoorzekającego z zarzutem, że przekroczyłem prawo o zgromadzeniach, które – nawiasem mówiąc – pozwalało na spotkania (chyba tylko) 5-osobowe, a na większe trzeba było mieć pozwolenie od władz. Prawo to stosowano zależnie od potrzeby.

Leona Króla – który chyba był związany z jednym jezuitą i dzięki jego pomocy zjawiał się w Rzymie kilka lat później – spotkałem w Wiecznym Mieście i miałem świetną okazję, by mu uświadomić – jak pamiętam – w mało oględnych słowach, jakiej sprawie służy i ile złego robi jako sługus komunizmu. Powiedziałem wtedy, że może mi jeszcze dużo złego zrobić, ale tylko w Polsce, natomiast na terenie Rzymu, niech przynajmniej raz usłyszysz, co sędzę o nim i o całym systemie w PRL-u. Nie podzielał moich poglądów, odwołując się do pozytywnych stron marksizmu i nawet starał się mnie do niego przekonać.

Jedynym sposobem uniknięcia Kolegium Karnoorzekającego było nie stawienie się na rozprawę, ponieważ było zadekretowane (a to wiem od kogoś, kto także wiedział!) skazanie mnie na grzywnę albo na miesiąc więzienia. W tej trudnej sytuacji pomógł mi jedynie brat zakonny Mateusz Moroz. Natomiast przełożeni – zarówno rektor, o. Jan Kował, jak i jego zastępca, o. Edward Stoch – umyli ręce twierdząc, że to moja sprawa, że nic nie wiedzieli, że nie byli na jasełkach. W ciągu kilku dni zdolali zapomnieć, że „uświatnili” przecież przedstawienie premierowe! No, cóż – strach paraliżuje, a oni może mieli w pamięci plądrowanie przez UB naszej biblioteki czy inne jeszcze groźby.

Brat Moroz poradził mi, bym chorował, a resztę on załatwi. Tak więc „chorowałem” pół roku, na kolejne rozprawy wysyłając zaświadczenia lekarskie. Przedawnienie następowało dopiero po 6 miesiącach. Akurat na ostatni dzień tego okresu wyznaczono kolejną rozprawę, a był to dzień zdawania przeze mnie matury. Sprawa była beznadziejna, więc „chorowałem”, na wezwanie nie poszedłem, ale jako chory udałem się na maturę i zdałem.

14. Po niej składałem wstępne egzaminy na romanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zdałem, ale nie przyjęto mnie z braku miejsc – czytaj: „bo ksiądz”. Dostałem się jeszcze w tym samym 1963 roku na dodatkowe egzaminy na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu i zostałem – nie bez przymrużenia oka na fakt, że jestem księdzem – przyjęty. Pomogły mi znajomości, jakie miał ojciec Czesław Białek wielokrotnie więziony za kazania przeciw aborcji i wrogi stosunek do PRL-u, a także prof. Stanisław Gniadek.

15. Po zdaniu egzaminów z II roku (w 1965 r.) wyjechałem do Francji z myślą o powrocie po wakacjach na dalsze studia. Tymczasem przełożeni wyrazili życzenie, bym – skoro już jestem we Francji – odbył tzw. Trzecią Probację w Paray-le-Monial. Postarałem się o urlop dziekański i zostałem.

A z paszportem było tak: Po złożeniu papierów o paszport otrzymałem wezwanie, a może nawet wezwania – jak to określano – „w sprawach paszportowych”, aż wreszcie, wydawało się, że otrzymam paszport na wyjazd do Francji. Rozmówca – stale ten sam – robił wrażenie niezmiernie uprzejmego i życzliwego. Rozmowa była na tematy zupełnie drugorzędne. Po doświadczeniu w Pałacu Mostowskich czułem się swobodniej i pozwalałem sobie zmieniać temat rozmowy na osobiste sprawy rozmówcy, typu, jak żona, jak teściowa, jak dzieci itp. Odpowiadał, ale się wymigiwał. Z kolei on przechodził na sprawy polityczne, mówił z pewnym zadowoleniem o zwalnianiu Żydów z milicji, pytał o politykę Kościoła – państwo, itp. W dowód „przyjaźni i życzliwości” – jak to chyba określił – dał mi pióro albo długopis (już nie pamiętam), ja z kolei też mu coś (nie pamiętam co) przy oddawaniu paszportu po powrocie z Francji ofiarowałem, bo tak od dziecka jestem nauczony. Podawał mi prywatny telefon i prosił o zadzwonienie. Zapisywałem na paczce papierosów, co skomentował, że po to piszę na papierosach, by z pustą paczką wyrzucić. Tu się nie mylił.

Na początku lipca 1965 roku otrzymałem wreszcie wezwanie po paszport. Poszedłem. Paszport leżał na stole. Oto paszport (chyba powiedział), ale ksiądz spełni, co obiecał. Dzisiaj sobie przypominam, że w poprzedniej rozmowie z nim na temat propozycji donoszenia, odpowiedziałem (chyba cynicznym głosem), że, oczywiście, gdyby ktoś chciał wysadzić w powietrze Pałac Kultury, to z pewnością zawiadomię milicję. Może to wziąć za obietnicę z mojej strony!

Zrobiłem wielkie oczy i odpowiedziałem, że niczego nie obiecywałem i do niczego nie będę się zobowiązywał, a ponadto (powtarzałem to zawsze) całe spotkanie – zgodnie z naszym prawem zakonnym – zreferuję ojcu przełożonemu. W odpowiedzi usłyszałem, że w takim razie paszportu nie będzie. Wróciłem więc do domu i na drugi czy trzeci dzień wyjechałem na wakacje do Świętej Lipki. Tam (chyba po dwóch tygodniach) otrzymałem telefon od jezuitów w Poznaniu, że mam wezwanie po paszport. Wróciłem. Poszedłem. Za stołem ten sam fa-

ceł i (chyba) ten sam paszport. A tym razem już bez warunków? – zwróciłem się do niego. Powiedział mi (chyba), bym nie żartował i dał mi paszport, przypominając, bym nie szkalował PRL-u i uważał, gdyby ktoś ze mną chciał nawiązywać kontakt za granicą.

16. Przed 2 października 1966 roku wróciłem do kraju i rozpocząłem trzeci rok romanistyki w Poznaniu. Wtedy też studenci wybrali mnie na szefa Naukowego Koła Romanistów. Po 1 maja 1967 roku zostałem wezwany na rozmowę przez sekretarza partii na Wydziale Filologii. Zaczął mi stawiać zarzuty, że nie postarałem się, by romanistyka zaznaczyła swoją obecność na pochodzie pierwszomajowym. Wyjaśniłem, że reprezentuję Koło Naukowe, a nie polityczną organizację młodzieżową i zapytałem, czy wie, kim jestem, i – nie czekając na odpowiedź – powiedziałem, że jestem księdzem jezuitą i żeby nie oczekiwał, by jezuita organizowali jakikolwiek pochód pierwszomajowy. Zdębiał, wstał i wyszedł, a ja za nim.

W tym samym mniej więcej czasie była nagonka na księży studiujących na uniwersytecie w Poznaniu. Było nas ok. dwudziestu na różnych kierunkach. Polecenie wydalenia nas z uniwersytetu otrzymał prorektor, prof. Łuczak. Opowiadał mi w czasie „nocnego” spotkania, że po ustnym poleceniu zwolnienia nas, na egzekutywie partyjnej zażądał takiego polecenia na piśmie. Nigdy mu go nie dano i w ten sposób utrzymaliśmy się na uniwersytecie.

17. Tu i ówdzie od znajomych profesorów docierały do mnie sugestie, że lepiej będzie, bym się przeniósł na inny uniwersytet. W tym samym czasie było zapotrzebowanie na nauczyciela francuskiego na naszym Wydziale Filozoficznym w Krakowie. Sprawy formalne załatwiłem i rozpocząłem czwarty rok romanistyki na UJ-cie w 1967 roku, ucząc równocześnie kleryków języka francuskiego.

W Krakowie UB nie napastowano mnie poza jednym chyba wypadkiem (o ile pamiętam). W 1968 roku – po rewolucji w Czechosłowacji i manifestacjach studentów z UJ-tu za Dubczekiem, od których nie stroniłem – zostałem wezwany z propozycją spotkania się w Jamie Michalikowej. Poszedłem. Ich było dwóch. Zdawkowa rozmowa, w czasie której padło pytanie: co sądzę o wypadkach w Czechosłowacji. Przypomniałem sobie

pewną historyjkę i zapytałem z kolei czy słyszeli, jak podobne pytanie zadano Ickowi: Co ty, Icek, sądzisz o tych wypadkach. O, ja – odpowiada Icek – ja sądzę to samo, co pisze prasa, co mówi radio, telewizja. Ale, Icek, czy ty nie masz swojego zdania na ten temat? O, ja mam swoje zdanie, ale ja się z nim nie zgadzam. Ja też mam swoje zdanie, ale ja się z nim nie zgadzam – zakończyłem. Po tej mojej ripocie już mnie więcej nie pytali. Inne pytania były zdawkowe, a z mojej strony kończyło się, że – niestety – ale wszystko muszę zreferować przełożonemu. Nie byli tym zachwyceni, a ja jak zwykle dotrzymałem słowa.

18. W czasie studiów na UJ-cie miałem kiedyś donos, że z ramienia UB zajmuje się mną jedna z koleżanek (nie pamiętam nazwiska). Z mojej inicjatywy spotkałem się z nią w kawiarni przynajmniej raz z myślą, by jej coś pobożnego powiedzieć o zakonie czy Kościele. Nie wiem, co się z nią dzisiaj dzieje.

19. W 1969 roku przełożeni szukali kogoś do prowadzonego od początku przez jezuitów Radia Watykańskiego Sekcji Polskiej. Los padł na mnie i rozpoczęło się staranie o paszport. Z pewnością wtedy byłem w Biurze Paszportowym i z kimś tam rozmawiałem, ale nic szczególnego nie pamiętam.

Istniało wtedy prawo, że studia należało odpracować, niezależnie czy ktoś miał stypendium, czy nie. Ja oczywiście nie miałem. Nie wydawano więc łatwo dyplomów. Otrzymałem go jednak dzięki taktownej rozmowie w sekretariacie i tabliczce czekolady. Z przyznaniem mi paszportu chyba też nie miałem szczególnych trudności, o ile pamiętam. Oczywiście przy jego odbiorze pouczali, bym nie szkalował Polski Ludowej.

20. Do Rzymu przyjechałem pociągiem we wrześniu 1969 roku podejmowany przez o. Tomasza Rostworowskiego, dyrektora Polskiej Sekcji Radia Watykańskiego. Nazajutrz rozpocząłem przygotowywanie audycji, móżąc się równocześnie nad opanowaniem języka włoskiego. Pomagała mi przy tym znajomość francuskiego i dość swobodne poruszanie się w języku hiszpańskim. Przy skromnej obsadzie Sekcji (dwóch jezuitów i dwa etaty dla ludzi świeckich) musieliśmy zapewnić codziennie 15 minut programu, nie licząc sprawozdań z wydarzeń ogólnokościelnych, w tym kanonizacje, liturgie papieskie z okazji różnych świąt, a za Jana Pawła II podróże apostolskie. Jako re-

porter byłem z Papieżem w Meksyku, podczas pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce, następnie w Stanach Zjednoczonych.

Za Pawła VI byłem także tłumaczem Papieża w czasie wizyty Edwarda Gierka w Watykanie, tuż przed moim wyjazdem do Kanady na tzw. rok sabatni, czyli gdzieś koniec listopada i początek grudnia 1977 roku. Wizyta jak wizyta. Dla historii chcę natomiast wspomnieć o szczególnym incydencie. Wychodzimy z prywatnej biblioteki Papieża. Po prawej ręce Pawła VI Gierek, po lewej ja. W pewnym momencie Papież tak nieszczęśliwie się pośliznął, że ledwie go złapałem jakieś pół metra nad posadzką. Powód do chluby za uratowanie życia Papieżowi – ale kogo to interesuje?!

W sierpniu następnego roku Paweł VI umiera, co zmusiło mnie do natychmiastowego powrotu z Kanady do Watykanu. Pogrzeb. Konklawe. Wybór Jana Pawła I, a po jego śmierci Jana Pawła II.

21. Sekcja Polska należała do biedniejszych w stosunku na przykład do Sekcji Niemieckiej czy Francuskiej. W pierwszych latach mojej pracy w Radio Papieskim zwrócił się do mnie szef Sekcji Niemieckiej, jezuita, chcąc ofiarować pieniądze na wyposażenie naszej Sekcji i twierdząc, że to od episkopatu niemieckiego. Odpowiedź moja była prosta: „to zanieś to do Watykanu i niech mi da pieniądze Sekretariat Stanu, na którego żołdzie jestem”. Więcej mi nie proponował.

22. Naszą pracę w Radio wyznaczał codzienny obowiązek przygotowania audycji. Sekcja Polska zwłaszcza po wyborze kardynała Karola Wojtyły na papieża – ale i przedtem było podobnie, choć nie w takim stopniu – zamieniła się praktycznie na biuro informacji dla polskich pielgrzymów i to informacji wszelkiego rodzaju. Przewijały się przez nią setki ludzi, od księży kardynałów polskich (Karol Wojtyła, Stefan Wyszyński, Bolesław Kominek, Bolesław Filipiak, Władysław Rubin) poczynając, poprzez biskupów, misjonarzy, dziennikarzy i świeckich przybywających do Wiecznego Miasta jako turyści, pielgrzymi czy w innych celach. Ani ich poznać, ani zapamiętać absolutnie nie byłem w stanie. Do tego doliczyć wypada księży pracujących w Watykanie, jak późniejsi hierarchowie (Andrzej Deskur, Janusz Bolonek, Tadeusz Rakoczy, Józef Kowalczyk, Ryszard Karpiński, Zygmunt Zimowski, Zbigniew Kiernikowski...), czy

księża studiujący na rzymskich uczelniach oraz świeccy rezydujący w Rzymie od lat, z którymi utrzymywałem kontakt, a nadto ci wszyscy, z którymi robiłem wywiady, organizowałem audycje czy spotykałem się towarzysko. Ludzie przychodzili z najrozmaitszymi sprawami. Wśród nich byli ludzie z Tygodnika Powszechnego, PAX-u, z ODiSS-u Janusza Zabłockiego, z Solidarności, a chyba także ludzie przysłani ze „specjalnymi misjami” do Rzymu. O niektórych z nich mieliśmy z o. Rostworowskim jasno wyrobione zdanie, że są po drugiej stronie barykady.

Z rozpoczęciem pontyfikatu przez Jana Pawła II liczba gości osiągnęła apogeum. Nasza siedziba stała otworem dla każdego aż do ostatnich lat mojej pracy w Radio, kiedy zaczęto się bliżej przypatrywać przychodzącym do Polskiej Sekcji.

23. Przełożonym polskich jezuitów poza granicami, a więc i moim przełożonym, był asystent regionalny o. Antoni Mruk, pełniący także obowiązki prowincjała. Miał on chyba dobre stosunki z konsulatem, skoro podjął się misji dostarczania nam listów-zaproszeń konsulatu na jakieś tam przyjęcia, np. bożonarodzeniowe czy inne. Raz przyniósł mi taki list adresowany na mnie i chyba żałował tego, bo mu dałem taką odprawę, jakiej się nie spodziewał. Listu nie przyjąłem i wniosłem ostry protest do ówczesnego prowincjała krakowskiego, o. Jana Popieła, stwierdzając, że sobie tego absolutnie nie życzę, bo przełożeni nie są od tego.

24. Na przestrzeni prawie jedenastu lat pracy w Radio Watykańskim spotykałem się z niezliczoną liczbą ludzi i to w różnych sytuacjach. Spotkałem się także z niejakim Andrzejem Madejczykiem, znanym z głośnej afery wokół o. Konrada Hejmo, OP.

Przy tej okazji pisano kiedyś w prasie polskiej, że tenże o. Hejmo, protegowany przez abp. Dąbrowskiego, zwracał się do mnie, bym go przyjął do Sekcji Polskiej. Zupełnie nie pamiętam, by wprost mnie o to prosił, ale nie jest wykluczone, że tak było. Jako dyrektor Polskiej Sekcji nie byłem jednak udzielnym panem, ale byłem na „żołdzie” Sekretariatu Stanu. Pośrednio powiedziałem to także ks. Prymasowi, gdy kiedyś jego sekretarz, ks. Bronisław Piasecki, zwrócił mi uwagę – przy okazji nie pamiętam już jakiej sprawy – że jestem zależny od ks. Prymasa. W odpowiedzi jednoznacznie mu wyjaśniłem, że „moim

przełożonym w Radio jest jedynie Sekretariat Stanu”. Nie ulega wątpliwości, że Broniek przekazał to ks. Prymasowi, który później przy jakiejś okazji, zrobił aluzję do mojej wypowiedzi. W konkretnym układzie mojej zależności od Sekretariatu Stanu ewentualna prośba o przyjęcie o. Hejmy do Sekcji była raczej bezprzedmiotowa, bo de facto nie byłem jedynym decydującym w tej sprawie, a nadto nie było wolnego etatu i zasadniczo w Radio pracowali tylko jezuici.

Madejczyk, odwiedzający Rzym od szeregu lat, przedstawiał się jako pracownik episkopatu niemieckiego, co nie wzbudzało żadnych podejrzeń z naszej strony, a przy tym był znany wśród duchowieństwa polskiego w Rzymie i spotykał się z wieloma księżmi, także z pracownikami Watykanu. Byłem więc z nim może kilka razy po nagraniu przeze mnie wieczornej audycji w restauracji „na spaghetti”, jak się to u nas nazywało. Ale byliśmy także w restauracji z innymi osobami, np. z o. Stanisławem Opiełką, o. Flawianem Słomińskim, chyba także z o. Rostworowskim, a może jeszcze z kimś innym. Rozmowa zawsze była o niczym, czyli o bieżących plotkach rzymskich. Nikomu z nas nie przychodziło do głowy, że może być to ktoś związany z UB. Człowiek ten miał poważny problem alkoholowy. Raz nawet znalazł się z tego powodu w szpitalu, dokąd zabrała go z ulicy policja. Nie pamiętam, by on płacił w restauracji, bo stać mnie było na restaurację, a przy tym nie w moim stylu być dłużnym komukolwiek.

W czasie ostatniego z nim spotkania (gdzieś wczesną jesienią 1979 roku) Madejczyk zwrócił się do mnie wprost, żebym trzymał z nim kontakt, bo episkopat niemiecki potrzebuje kogoś takiego, jak ja. Zareagowałem bardzo agresywnie, stwierdzając w niewybrednych słowach, że już jestem w jednej mafii, jak czasem nazywa się jezuitów, a poza tym jestem na żołdzie Watykanu i nie mam zamiaru z kimkolwiek się wiązać. Na co wyjaśnił mi cynicznie, że na moim stanowisku nie mogę być niezależny (wspomniał chyba, że podobnie postępują inni) i w takim razie już niedługo na nim pozostanę.

Po tym powiedzeniu (o ile dobrze pamiętam) opuściłem restaurację. Wspomnę tu, że od 26 listopada 1973 roku byłem dyrektorem Polskiej Sekcji po śmierci o. Rostworowskiego i na tym stanowisku zostałem do 15 marca 1980 roku, następnie pożegnałem się z Rzymem, tak jak kilka miesięcy wcześniej zapowiedział mi to Madejczyk, ale świadomość tej współzależności dotarła do mnie dopiero po latach.

Nie chcę wspominać, jak ciężko przeżyłem wyrzucenie mnie z Radia, zwłaszcza z powodu obojętności zakonu wobec mojej sytuacji. Podobną postawę zajął bliski mi Andrzej Deskur (dzisiaj kardynał), który mówił, że nie ma problemu, a gdyby coś, to będziemy się bronić. Co przez to „coś” rozumiał – nie wiem. Dziwił się także na początku stycznia 1980 roku kard. Władysław Rubin, ale nie był w stanie niczego mi wyjaśnić, owszem, nawet nie wiedział, że jestem zwolniony z Radia.

25. Sprawę zwolnienia mnie z Radia przedstawiałem kolejno generałowi o. Pedro Arrupe, asystentowi w zakonie ojcu Paolo Dezzy, delegatowi generała ds. jezuitów w Rzymie, ojcu Simonowi Decloux, ojcu asystentowi Petarowi Galaunerowi i bezpośrednio przełożonym. U nikogo nie spotkałem się ze zrozumieniem i życzliwym słowem. Albo składano winę na mój sposób bycia (typowa tu była postawa ówczesnego prowincjała Eugeniusza Ożoga), albo nabierali wody w usta (jak o. Dezza – najpierw obiecał wyjaśnić moją sprawę, a w drugiej rozmowie nie przypominał sobie, że w ogóle ze mną na ten temat rozmawiał). Wspomniane zarzuty o moim „sposobie bycia” wykpił ówczesny dyrektor programów, o. Pasquale Borgomeo, mówiąc że „10 lat nie było żadnych zarzutów, a teraz raptem formułuje się zastrzeżenia”.

Coś się stało, a ja nic nie rozumiałem. Przedstawiano mi zarzuty (typowy tu był także asystent, o. Galauner), że jestem agresywny, że nie szanuję ludzi, a zatem muszę odejść.

26. Zaszczutemu jak pies, udało mi się (1 III 1980 r.) zdobyć bilet wstępu na Różaniec z Papieżem. Zająłem miejsce na skraju ławki, licząc że Papież mnie zauważy, bo przecież musiał wiedzieć, że mam opuścić Radio. Wiedział, czego wyrazem były słowa, jakie skierował do mnie, przechodząc obok: „Filipowicz, perchè mi hai tradito?” (Filipowicz, dlaczegoś mnie zdradził). Odpowiedziałem natychmiast także po włosku: „Santità, non L'ho tradita mai” („Ojcze Święty, nigdy Cię nie zdradziłem!”). I to było wszystko. Papież poszedł dalej.

Słowa Papieża mocno mnie dotknęły. Nie mogłem zrozumieć ich sensu. Jak mogłem go zdradzić, przecież byłem absolutnie lojalny i uczciwy. Nawet mi do głowy nie przyszła możliwość interpretowania tych słów, jako jakiś rodzaj współpracy z komunistami. Przecież nic takiego, i to nigdy, nie miało miejsca. Nie łączyłem tych słów nawet z zapowiedzią Madejczyka,

że niedługo pozostanę na stanowisku dyrektora Sekcji Polskiej Radia, bo nie miałem żadnych podstaw uważać go za ubeka.

Tak jednoznaczne pytanie Papieża było dla mnie tym bolesniejsze, że przecież tak wiele razy spotykaliśmy się, gdy jeszcze był kardynałem i nawet – jak czułem – uważał mnie za kogoś bliskiego, darząc zaufaniem. Przemyślałem na różne sposoby: może mu było przykro, że opuszczam Radio, może żartował, jak próbowali mi to wyjaśnić koledzy – ale nie, to były słowa bardzo poważnie do mnie skierowane, a już nie do przyjęcia jest przecież, że określenie „hai tradito” użył w szerszym znaczeniu. Nie rozumiem tego do dzisiaj.

Po latach światło na znaczenie słów Papieża zaświtało mi, gdy wybuchła sprawa związku o. Hejmy z Madejczykiem. Może więc tu należałoby szukać odpowiedzi. Zaczynam się domyslać, że chyba za odwołaniem mnie z Radia stało UB, ale kto jest w stanie to potwierdzić?! Kto jest w stanie pokazać pełną prawdę z tamtych lat?! Z tym niedosytem pójdę chyba do grobu.

27. UB bardzo dbało o swoje sprawy w Rzymie i w Watykanie. Doszło kiedyś do mnie, że mam w Sekcji donosiciela. Powiedziałem współpracownikom o tym i zwróciłem uwagę, że jeżeli ktoś, to ja jestem odpowiedzialny za Sekcję i z problemami z nią związanymi sam się uporam i nie jest mi potrzebna pomoc. Tak więc raz spotkałem się w restauracji z konsulem na jego wezwanie. Nazwiska nie pamiętam, a zresztą, oni mieli ich bez liku. Pytał, między innymi o zakon i czwarty ślub papieżowi. Wyjaśniłem i – jak dziś pamiętam – dodałem, że poza czwartym, składamy jeszcze kilka innych, zobowiązujących np. do uczenia dzieci katechizmu i zachęcania do częstej spowiedzi i Komunii św., co właśnie wobec pana czynię. Mogłem to tym łatwiej powiedzieć, dlatego że mi wspomniał, o czasach, kiedy był ministrantem. Przełknął. Rozmowa, jak rozmowa przy takich okazjach, ale nie wiem, co mnie naszło, ale było to w restauracji, że powiedziałem mu tyle impertynencji na temat komunizmu i systemu ucisku w PRL-u, że chyba nigdy czegoś podobnego nie usłyszał. Zakończyłem, że „jest w stanie mnie posadzić i to na wiele lat, gdy się zjawię w Polsce. Z pewnością mnie nie zbijecie – powiedziałem – co najwyżej wybijecie zęby i zmasakrujecie, ale przyjdzie czas, że kiedyś wyjdę i spotkamy się w Łazienkach: ja stary i pokiereszowany, a pan przygarbiony z laską. Pokażę panu wtedy język i zapytam: no i kto zwy-

ciężył?”. Te słowa w cudzysłowie mam do dziś przed oczyma i w minimalnym stopniu może się różnić od tamtej chwili.

28. Kiedyś, rozmawiając z ks. Prymasem Wyszyńskim, powiedziałem mu (już nie wiem, skąd to wiedziałem), że w bliskim jego otoczeniu jest donosiciel. Prymas uśmiechnął się i krótko skomentował, że wie o tym i nie ma zamiaru go zmieniać, bo tak jest lepiej.

29. Pewnego dnia radził się mnie jeden polski ksiądz, co robić, bo go nachodzą z konsulatu. Odpowiedziałem po trzykroć: Jeżeli się czujesz psychicznie mocny i to bardzo, to absolutnie się z nimi nie spotykaj. Ksiądz ten niedługo potem wystąpił z zakonu.

30. Rzym opuściłem 16 kwietnia 1980 roku po uroczystym pożegnaniu (14 II 1980), w którym wzięło udział ok. 400 osób w ciągu dwóch dni – a byli na nim między innymi: kard. Władysław Rubin, bp Szczepan Wesoły, o. Roberto Tucci, o. Pasquale Borgomeo, księża: Janusz Bolonek, Tadeusz Rakoczy, Józef Kowalczyk, Ksawery Sokołowski, Jerzy Langman, Adam Boniecki, Marian Burniak, dr Spalone, księżna de Medici, o. Józef Warszawski, o. Hieronim Fokciński, o. Flawian Słomiński, o. Jan Popiel, generał chrystusowców, o. Superior O’Neil, pracownicy wszystkich 34 sekcji Radia Watykańskiego...

31. Do Chicago przyleciałem 19 kwietnia 1980 roku. Tam praca duszpasterska wśród Polonii, redagowanie „Pośłańca Serca Jezusa”, praca w szpitalu jako kapelan, w Zrzeszeniu Nauczycieli Polskich w Ameryce, w Związku Lekarzy Polskich, w Towarzystwie Przyjaciół Fundacji Jana Pawła II.

Przez siedem lat (1983-90) nadawałem także w Głosie Ameryki tygodniowe felietony na aktualne tematy, co mogłem robić po szczegółowych przesłuchaniach przez FBI zarówno świadków, jak i mnie osobiście. W Głosie Ameryki również komentowałem „na żywo” Pasterki Ojca Świętego, a także jego pielgrzymki do Polski oraz – jako reporter tegoż radia – pielgrzymkę papieską do Kanady. Do Krakowa wróciłem na polecenie ojca Prowincjała Krzysztofa Dyrka w 2003 roku.

Kraków, 2 lutego 2006 r.

Stefan Filipowicz SJ

Filip Musiał

Tajni współpracownicy

Zadaniem Służby Bezpieczeństwa (SB) było wykrywanie i zwalczanie osób oraz środowisk uznanych za wrogie wobec władzy komunistycznej. Cel realizowano poprzez zróżnicowane działania operacyjne wymierzone przeciwko tym, którzy w jakiegokolwiek formie komunistom się przeciwstawiali oraz monitorowanie działań tych osób, które potencjalnie mogły się im przeciwstawić. Podstawowym narzędziem tych działań były osobowe źródła informacji (OZI). W okresie funkcjonowania bezpieki kilkakrotnie definiowano rozmaite kategorie OZI, wyznaczając wewnątrzresortowe kryteria umożliwiające uznanie danej osoby za współpracownika bezpieki¹.

Działalność bezpieki regulowały odpowiednie instrukcje o pracy operacyjnej. Jednym z podstawowych ich zadań było sklasyfikowanie różnych kategorii OZI. Instrukcje regulujące działania, między innymi, tych pionów komunistycznej SB, których celem było inwigilowanie, dezintegrowanie, dezinformowanie, inspirowanie i niszczenie Kościoła katolickiego wprowadzono w latach 1945, 1960, 1970 i 1989.

Początkowo bezpieka wyróżniała cztery kategorie OZI: informatora, agenta, rezydenta i kontakt operacyjny. Dopiero po „odwilży” i zmianie sytuacji politycznej w kraju, w 1960 r. zredefiniowano zadania stojące przed SB, zmieniono wówczas także obowiązującą w języku operacyjnym terminologię. Wyróżniono wtedy trzy kategorie OZI: tajnego współpracownika, pomoc obywatelską, faktycznie wprowadzono także kontakt służbowy. W instrukcji z 1970 r. wymieniano już: tajnego współpracownika, kontakt operacyjny, kontakt służbowy i konsultanta. W ostatniej z 1989 r. po raz kolejny zdefiniowano zróżnicowane kategorie OZI rozróżniając: tajnego współpracownika, osobę informującą, oficjalne osobowe źródło informacji oraz konsultanta.

W latach 1960-1990 najbardziej sformalizowanym i najistotniejszym osobowym źródłem informacji był tajny współpracownik (TW). Według instrukcji z 1960 r. TW byli to ludzie, „którzy

¹ Najszerszy jak dotąd wykaz zróżnicowanych kategorii OZI cywilnych i wojskowych służb komunistycznego aparatu represji zob.: W. Sawicki, *Osobowe źródła informacji w PRL 1944-1990*, „Gazeta Polska”, 29 XI 2006.

mając dotarcie do interesujących tę służbę (czyli SB – przyp. F.M.) osób, grup czy ośrodków, wynikające z posiadania ich zaufania lub z różnego rodzaju powiązań, mogą wykonywać zleczone im zadania operacyjne². Z kolei od 1970 r. „tajni współpracownicy – to osoby celowo pozyskane do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i wykonujący zadania w zakresie zapobiegania, rozpoznawania i wykrywania wrogiej działalności”³.

TW byli pozyskiwani najczęściej w środowiskach uznanych za wrogie wobec systemu. Dlatego – ze względu na potencjalne niebezpieczeństwo nielojalności z ich strony – obowiązywały w ich wypadku wysoce sformalizowane procedury i szeroka dokumentacja faktu typowania kandydatów, werbunku i efektów współpracy. Miały one zapewniać przede wszystkim kontrolę nad kolejnymi etapami wciągania źródła do współpracy, osiągnięcie konkretnej korzyści ze współpracy, ale również zabezpieczać przed wpisywaniem do rejestrów ewidencyjnych „martwych dusz”.

Proces pozyskania TW był wieloetapowy. Funkcjonariusz dokonujący werbunku musiał na każdym etapie uzyskiwać od przełożonego akceptację już przeprowadzonych i zgodę na kolejne działania. Przed pozyskaniem funkcjonariusz prowadzący daną sprawę typował kandydata na werbunek i po uzyskaniu zgody przełożonego przeprowadzał jego tak zwane opracowanie. Znaczyło to, że przystępował do szeroko zakrojonej inwigilacji, której celem miało być uzyskanie jak najbardziej szczegółowej wiedzy o kandydacie na TW i – w konsekwencji – stworzenie jego portretu psychologicznego. Było to niezbędne dla podjęcia decyzji o tym, jaką taktykę wobec danej osoby należy podjąć, w chwili nawiązania z nią kontaktu. Jednocześnie przeprowadzano kontrolę w ewidencji operacyjnej, by upewnić się, czy kandydat na TW nie znajduje się, bądź nie znajdował się w przeszłości w zainteresowaniu SB. Służyć to miało dwóm celom: z jednej strony – w przypadku gdy osoba ta była już kiedyś rozpracowywana lub działała jako OZI – uzyskaniu dostępu do materiałów archiwalnych na jej temat, z drugiej strony, upew-

² Instrukcja nr 03/60 z dnia 2 lipca 1960 r. o podstawowych środkach i formach pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa, w: *Instrukcje pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa (1945–1989)*, oprac. T. Ruzikowski, Warszawa 2004, s. 97.

³ Instrukcja o pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa resortu spraw wewnętrznych (1970), w: tamże, s. 127.

nieniu się, czy nie jest aktualnie wykorzystywana jako OZI. Jedną z zasad naczelnych pracy z agenturą był fakt, że nie mogła ona być dublowana, czyli nie można było dokonywać werbunku osoby, która była już czynnym (to znaczy aktywnym) źródłem informacji innego funkcjonariusza SB.

Po zakończeniu opracowania kandydata, czyli w chwili, gdy funkcjonariusz uznał, że dysponuje wystarczającą wiedzą, by przeprowadzić skuteczny werbunek, zwracał się do przełożonego o zgodę na podjęcie próby pozyskania. W sporządzanym wniosku przedstawiał sylwetkę kandydata i rysował jego przydatność dla prowadzonej sprawy operacyjnej, a także analizował jego stosunek do SB i określał metodę pozyskania do współpracy. Wyróżniano cztery możliwości werbunku w oparciu o materiały obciążające (grożące sankcjami sądowymi lub administracyjnymi), materiały kompromitujące (najczęściej natury moralnej), tak zwane uczucia patriotyczne (pobudki ideowe) oraz – najbardziej rozpowszechnione w latach 70-tych i 80-tych – zainteresowanie materialne (pieniądze, uzyskanie paszportu, rozmaite ułatwienia administracyjne, podarunki itp.).

Funkcjonariusz określał zarazem taktykę przeprowadzenia werbunku, a więc precyzował, czy pozyskanie nastąpi w konsekwencji jednego spotkania, czy też ze względu na spodziewany opór kandydata należy je rozłożyć w czasie i zdecydować się na formę pozyskania stopniowego – zatem w czasie kilku (kilkunastu) spotkań, na których będą przełamywane kolejne bariery psychiczne werbowanego. W niektórych sytuacjach zdecydowano się na przeprowadzanie tak zwanego pozyskania pozornie dla innego celu. Jeśli na przykład osobowe źródło miało być wykorzystywane do uzyskiwania informacji o kurii, ale nie chciało rozmawiać z funkcjonariuszem na ten temat, jednocześnie jednak podejmowało się rozmów np. na temat sytuacji w zakonie – przekonywano taką osobę, że współpraca będzie dotyczyła informacji dotyczących zakonu. Dopiero w czasie współpracy pokonywano kolejne opory psychiczne i ukierunkowywano źródło w pożądaną przez SB stronę.

Po uzyskaniu zgody na dokonanie werbunku funkcjonariusz wraz ze swym przełożonym konstruował plan rozmowy (rozmów), w trakcie której miał doprowadzić do przełomu psychicznego i uzyskania zgody na współpracę z SB. Niekoniecznie musiała ona przyjmować formę pisemną – często poprzestawano na zobowiązaniu ustnym. Taka forma była np. dominują-

ca po 1970 r. w przypadku werbowanych osób duchownych. Co więcej, zobowiązanie nie musiało przybierać formy deklaracji wprost o „współpracy z SB”. Przeciwnie, nierzadko mogło być świadomie wyrażoną zgodą na udzielanie pomocy lub informacji SB, czy świadomą zgodą na systematyczny zachowywany w tajemnicy kontakt z SB połączony najczęściej z przyjęciem pseudonimu. Należy też podkreślić, że w przypadkach gdy nie uzyskiwano zobowiązania na piśmie, lecz deklaracja była składana jedynie ustnie – była ona dokumentowana poprzez nagranie na taśmie magnetycznej (za pośrednictwem podsłuchu zainstalowanego w miejscu spotkania lub na ukrytym przez funkcjonariusza SB minifonie). Dopiero po uzyskaniu zgody na współpracę funkcjonariusz sporządzał wniosek o zatwierdzenie dokonanego pozyskania i dopiero wówczas dana osoba traktowana była przez SB jako tajny współpracownik. Trzeba jednak podkreślić, że zgoda na współpracę nie musiała oznaczać, że dana osoba faktycznie ze zobowiązania się wywiązała. Zdarzało się, że już na drugim spotkaniu formalnie zwerbowani TW odmawiali dalszych kontaktów z SB. Zatem wyrażenie zgody na współpracę to dopiero etap werbunku formalnego, zaś podjęcie współpracy i przekazywanie SB informacji, to moment w którym możemy mówić o werbunku faktycznym.

Zarysowane tu działania i procedury są spojrzeniem na współpracę „oczami bezpieczeństwa”. Ich świadomość posiadał tylko funkcjonariusz SB. We współczesnej dyskusji szczególnie zaskakujące jest powtarzające się twierdzenie, że ktoś nie mógł być OZI, ponieważ nie wiedział, że jako osobowe źródło został zarejestrowany. Bezpieka – zobowiązana do utrzymywania w konspiracji metod swej pracy – nie miała w zwyczaju informować OZI o wewnętrznych procedurach związanych z ewidencją i dokumentacją pracy osobowych źródeł.

Tajni współpracownicy mieli świadomość tego, że systematycznie (nawet jeśli częstotliwość tych spotkań była mała), w sposób tajny kontaktują się z funkcjonariuszem SB. Mieli świadomość, że przekazują bezpiecznie informacje (na piśmie lub ustnie), realizują wyznaczane im zadania, dostarczają poza informacjami także różnego rodzaju materiały (np. teksty wystąpień, druki drugiego obiegu, fotografie osób pozostających w zainteresowaniu resortu itp.) oraz o czym nie można zapominać, bardzo często pobierają gratyfikację za świadczone przez siebie „usługi”. Zupełnie inną kwestią, którą warto zasygnalizować, jest

fakt wypierania ze świadomości przez część TW faktu współpracy. Psychiczne samooszukiwanie się co do swej prawdziwej roli nie świadczy jednak o braku świadomości podjęcia zobowiązania i systematycznego kontaktu z funkcjonariuszami SB.

Systematyzując, z perspektywy resortu, aby uznać kogoś za TW należało najpierw:

- przeprowadzić opracowanie kandydata;
- dokonać sprawdzeń w ewidencji operacyjnej;
- przeprowadzić rozmowę pozyskaniową;
- uzyskać pisemne lub słowne zobowiązanie do współpracy z SB, udzielania jej pomocy, bądź zgodę na systematyczny tajny kontakt z funkcjonariuszem SB.

Te elementy pozwalały uznać, że dokonano pozyskania formalnego. O pozyskaniu faktycznym, mówiono wtedy, gdy TW dostarczał prawdziwych informacji i wykonywał zlecane mu zadania. Mogły one wykraczać poza samo przekazanie wiedzy o kimś lub o czymś, i mogły obejmować również próby dezinformowania lub inspirowania środowiska, w którym TW działał.

Z perspektywy zaś TW, możemy mówić o jego świadomości, zależnie od przypadku, o:

- podpisaniu/złożeniu ustnym zobowiązania do współpracy, bądź udzielania pomocy funkcjonariuszowi SB;
- zgodzie na kontakt (najczęściej tajny) z funkcjonariuszem SB;
- udzielaniu – ustnie lub pisemnie – informacji funkcjonariuszowi SB;
- wykonywaniu zadań zleconych przez funkcjonariusza SB;
- pobieraniu wynagrodzenia – w formie pieniędzy, podarunków, bądź przywilejów (np. paszport) – od funkcjonariusza SB.

Jednocześnie należy podkreślić, że każdy przypadek tajnej współpracy należy analizować odrębnie. Zależnie od osobowości TW, jego pozycji społecznej, roli odgrywanej w środowisku, a także sytuacji politycznej i wymagań kierownictwa partii i resortu obierano odrębną taktykę działania dla poszczególnych OZI. Dlatego w wypadku TW mogły występować wszystkie wymienione elementy, bądź tylko niektóre z nich.

Filip Musiał

„Jezuita w dokumentach bezpieki”

W archiwum IPN w Krakowie przechowywane są dwie teczki, oznaczone sygnaturą 009/7904, zawierające informacje na temat tajnego współpracownika o pseudonimie „Janiszewski”. Obie zostały zarejestrowane w Wydziale „C” Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu tego samego dnia: 23 czerwca 1965 roku, obie zostały opatrzone tym samym numerem ewidencyjnym 7827.

Pierwsza z nich to „Teczka personalna tajnego współpracownika”, zawierająca 90 stron dokumentów. Z „Karty kontrolnej”, na której odnotowano wykaz funkcjonariuszy „prowadzących teczkę” lub zapoznających się z materiałami wynika, że tzw. oficerem prowadzącym tajnego współpracownika od 1965 roku był kpt. Antoni Kokot, natomiast siedmiu innych funkcjonariuszy SB w latach 1965-1969 zapoznawało się z jej zawartością.

Z pewnością najważniejszym dokumentem jest „Ankieta tajnego współpracownika”, która ujawnia, iż t.w. (TW) o pseudonimie „Janiszewski” to Stefan Filipowicz, syn Stanisława i Heleny, urodzony 23 listopada 1934 roku w Szczakowej, ksiądz zakonny, pozyskany 14 maja 1965 roku przez kpt. Antoniego Kokota, starszego oficera operacyjnego Wydziału IV, „na podstawie dobrowolności” – co oznacza, że ksiądz sam zgodził się współpracować z SB.

Równie istotnym dokumentem w „Teczce personalnej” jest „Charakterystyka na tajnego współpracownika”, sporządzona 30 listopada 1967 roku w Poznaniu przez wymienionego już kpt. Kokota. Zanotowano w niej, że do pozyskania tajnego współpracownika wykorzystano fakt starania się przez niego o paszport na wyjazd do Francji.

Od chwili pozyskania do dnia wyjazdu do Francji to jest do lipca 1965 r. odbyto z nim trzy spotkania. We Francji przebywał przez okres jednego roku. Po przyjeździe wznowiono z nim spotkania w grudniu 1966 roku. Od tego czasu do czerwca 1967 r. odbyto z nim dalsze trzy spotkania, bowiem w miesiącu czerwcu br. t.w. wyjechał z Poznania do Krakowa.

Kpt. Kokot współpracę z ks. Filipowiczem uważał za udaną i pozyteczną dla SB.

Informacje jakie t.w. przekazywał dotyczyły składu personalnego zakonników w klasztorze poznańskim, pełnionych przez nich funkcji, działalności duszpasterskiej zakonników tego klasztoru, sytuacji w klasztorze, ważniejszych wydarzeń odnoszących się do działalności innych osób duchownych przybywających z Zachodu do Polski, np. wizyty ks. Casaroliego i ks. Mruka, charakteryzował postawy niektórych zakonników oraz scharakteryzował lektora języka francuskiego UAM w Poznaniu. Zdał dokładną i ciekawą relację z pobytu za granicą. Informacje przekazywane przez niego są dość wartościowe i obrazują działalność klasztoru poznańskiego.

Następnie kpt. Kokot przedstawił stosunek ks. Filipowicza do współpracy z bezpieką:

(...) współpraca z nim układała się dotąd zadowolająco. Na umówione spotkania przychodził zawsze punktualnie, nigdy nie wykazywał niechęci w przychodzeniu na spotkania. W dwóch przypadkach nie przyszedł wprawdzie na spotkanie, ale w jednym przypadku (w miesiącu czerwcu br.) było to obiektywnie usprawiedliwione, gdyż lokal „Wrzos”, który umówiono na miejsce spotkania był w tym czasie w remoncie. Nie można jednak powiedzieć, że jest on nazbyt chętny do współpracy. Jeśli np. spotkanie zostało umówione, to przyszedł w oznaczonym terminie, jeśli jednak zostało zerwane (w żargonie SB: nie odbyło się – przyp. RT), to sam nie wywołał spotkania. Informacje przekazuje ustnie, są one obiektywne i prawdziwe, ale wykazuje jeszcze wstrzeźliwość w ich przekazywaniu.

T.w. nie jest jeszcze jednostką sprawdzoną. Nie ma stuprocentowej pewności, czy jego kontakt ze służbą bezpieczeństwa jest zachowany w tajemnicy przed przełożonymi. Jeszcze przed wyjazdem do Francji t.w. pytany o to, czy ujawnił nasze kontakty, odpowiedział, że powiedział O. Zabdyrowi o tym, że chodzi do Biura Paszportów w sprawie swego wyjazdu. (...) Skłonny jestem twierdzić, że po przyjeździe z Francji nikomu o naszych kontaktach nie mówił, gdyż o tym świadczyło jego zachowanie na spotkaniach oraz fakt, że nie chciał by do klasztoru do niego zbyt często dzwonić. Z jego zachowania i rozmów wynikało, że konspirował kontakty ze służbą bezpieczeństwa.

Spotkania z t.w. odbywają się w kawiarniach na terenie Poznania, na które przychodził po cywilnemu.

Kpt. Kokot spisany przez siebie dokument kończył prezentacją sylwetki tajnego współpracownika:

Podczas współpracy nie wykazywał fanatyzmu religijnego, raczej przejawiał tendencje zainteresowania życiem świeckim. W czasie studiów często chodził do kawiarni ze studentkami, jedna z tych studentek była jego sympatią, z czym przede mną się nie krył, mimo, iż kilkakrotnie go z nią spotykałem. Jest księdzem zakonnym w średnim wieku, zdolnym i inteligentnym. Po ukończeniu studiów wyższych może zająć wyższe stanowisko w hierarchii kościelnej.

„Charakterystyka” sporządzona przez kpt. Kokota, nie wspomina o wcześniejszych kontaktach SB z ks. Filipowiczem. Tymczasem w opisanej teczce znajduje się „Raport z rozmowy z ks. Filipowiczem”, napisany 20 listopada 1959 roku w Warszawie przez porucznika F. Godka. Przedstawiony w nim epizod, o sześć lat wcześniejszy od kontaktów kpt. Kokota, dotyczy nieformalnego przesłuchania, przeprowadzonego przez SB po uzyskaniu informacji o rzekomym zamiarze opuszczenia zakonu. Pokazuje również metody, jakimi posługiwała się bezpieka, nawiązując kontakt z osobami duchownymi.

Z posiadanych materiałów wynika, że ks. Filipowicz Stefan nosi się z zamiarem podania się do dymisji i zamierza wystąpić z zakonu Jezuitów.

Z przechwyconego dokumentu „W” (czyli przejętego przez SB listu – przyp. RT) wynika, że był on obecny na zebraniu sekty św. Jehowy. Wykorzystując tę sytuację połączyłem się telefonicznie z zakonem Jezuitów i poprosiłem do telefonu ks. Filipowicza. W rozmowie telefonicznej oświadczyłem mu, że przyjechałem z Krakowa celem załatwienia spraw osobistych. Będąc w Szczakowej widziałem się z jego rodzicami i ci prosili mnie, abym się z nim skontaktowałem. Na jego pytanie z kim rozmawia odpowiedziałem mu, że nazywam się Zieliński, ale przypuszczam, że nazwisko moje nie jest mu znane. Następnie poprosiłem Filipowicza o kilka chwil rozmowy. Na rozmowę zgodził się bardzo chętnie i poprosił o przybycie do niego do zakonu na godzinę 15-tą.

O godzinie 15-tej do zakonu Jezuitów udał się tow. Skrobała, informując ks. Filipowicza, że p. Zieliński prosił go, aby zawiadomić ks. Filipowicza, że on nie może przybyć na umówioną rozmowę, gdyż zamówił międzymiastową rozmowę telefoniczną i oczekuje na nią na Poczcie Głównej na ul. Nowogrodzkiej i dziś wyjeżdża do Krakowa z powodu od niego niezależnego. Po tym wyjaśnieniu ks. Filipowicz wyraził gotowość przybycia na Nowogrodzką celem porozumienia się z p. Zielińskim.

Po przybyciu ks. Filipowicza na Poczta Główną, podszedłem do niego przedstawiając się jako Zieliński. Po wymianie kilku zdań grzecznościowych wyszliśmy z Poczty na ulicę Nowogrodzką. Po wyjściu na ulicę przeprosiłem go za wprowadzenie w błąd i wyjaśniłem, że jestem oficerem MO. Mam do wyjaśnienia z nim sprawę jego udziału w zebraniu sekty św. Jehowy.

Następnie ks. Filipowicz został zabrany do komendy MO, gdzie wyjaśnił, że wraz z ks. Kazimierzem Mrozkiem i ks. Władysławem Nowakiem zostali przez ks. Stanisława Bojko wysłani na spotkanie świadków Jehowy dla „zdobycia argumentów do walki z poszczególnymi sektami”. Filipowicz opisał nabożeństwo, w którym uczestniczył oraz zapewnił, że nie wiedział, iż „sektę św. Jehowy jest ścigana przez władze państwowe”.

Według porucznika Godka, ksiądz „nie dał odczuć, że nosił się z zamiarem wystąpienia z zakonu Jezuitów”. Charakteryzując księdza, funkcjonariusz SB napisał:

Filipowicz jest człowiekiem inteligentnym i zrównoważonym. Charakter bojaźliwy. Nie fanatyk. Na podstawie przeprowadzonej rozmowy wnioskuję, że wyrazi on zgodę na współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa.

Z tego spotkania zachował się też dokument, własnoręcznie napisany przez ks. Filipowicza:

Zobowiązanie. Zobowiązuję się do zachowania w ścisłej tajemnicy przed osobami trzecimi faktu przeprowadzenia rozmowy z Oficerem Służby Bezpieczeństwa i jej treści. Warszawa, 16 XI 1959 r., ks. Filipowicz Stefan.

Z zachowanych dokumentów SB nie wynika, dlaczego po opisanej rozmowie nie podjęto próby pozyskania ks. Filipowicza jako tajnego współpracownika. Bezpieka jednak o nim nie zapomniała, o czym świadczy „Notatka służbowa” spisana w Warszawie 6 czerwca 1961 roku przez Jana Sobolę, starszego oficera operacyjnego Grupy V Wydziału III SB.

Ojciec Maj Longin z zakonu jezuitów na Rakowieckiej 61, z którym przeprowadzono ostatnio kilka kolejnych rozmów, zapytany kogo uważa za najbardziej postępowych, rozsądnych i pozytywnych z pośród młodych – wymienił między innymi ks. Filipowicza Stefana. Wymieniony pochodzi z prowincji krakowskiej, obecnie kończy III rok teologii na Rakowieckiej i będzie

miął w tym roku wyższe święcenia kapłańskie. Zajmuje się on pracą kulturalno-oświatową wśród kleryków, wypożycza i wyświetla filmy itp. Uważany jest za człowieka postępowego, rozumiejącego sytuację.

Szereg dokumentów z lat 1961 i 1962 wskazuje na nieustające zainteresowanie bezpieki księdzem Filipowiczem. Zachowane zostały między innymi raporty z podsłuchów telefonicznych oraz donosy tajnych współpracowników (w tym wieloletniego konfidenta w zakonie ojców jezuitów w Krakowie, używającego pseudonimu „Kazek”). Jeden z tych donosów mógł mieć przykre konsekwencje, ponieważ dotyczył wystawienia „Jasełek” w sali katechetycznej krakowskiego klasztoru. Amatorski spektakl, przeznaczony dla dzieci w wieku przedszkolnym, nie uzyskał oficjalnego zezwolenia, w związku z czym ks. Filipowicz miał zostać ukarany grzywną przez Kolegium do Spraw Wykroczeń. Formalne niedopatrzania ze strony kolegium sprawiły, że winny „nielegalnego” przedstawienia ks. Filipowicz nie został ukarany.

W listopadzie 1963 roku naczelnik Wydziału IV (zajmującego się zwalczaniem Kościoła) SB w Poznaniu otrzymał z SB w Krakowie pismo na temat ks. Filipowicza, w którym przedstawiono plany dotyczące możliwości wykorzystania księdza:

Nasze zamierzenia odnośnie jego osoby precyzujemy w ten sposób: pozyskanie do współpracy, spowodowanie wystąpienia z zakonu, a jeśli jedna z tych ewentualności byłaby niemożliwa, to wydalenie z U.P. (Uniwersytetu Poznańskiego – przyp. RT) i tym samym niedopuszczenie do skończenia studiów.

W tej sytuacji poznańska bezpieka przystąpiła do próby werbunku ks. Filipowicza. Wygodnym pretekstem do przeprowadzenia pierwszych rozmów na ten temat stało się złożenie przez niego podania o paszport na wyjazd do Francji. Kapitan Kokot spotkał się z księdzem trzykrotnie: raz w lutym 1965 roku w Biurze Paszportów oraz dwukrotnie w marcu w kawiarni „Marago”. Funkcjonariusz uświadomił księdza, że ewentualne zezwolenie na wyjazd zależy wyłącznie od dobrej woli Służby Bezpieczeństwa. Podczas drugiego spotkania został on poproszony o pisemne wyjaśnienie celu wyjazdu oraz okoliczności uzyskania zaproszenia. Podczas trzeciego spotkania udzielił obszernych informacji na temat zakonu. Kpt. Kokot zanotował między innymi:

Powiedział, że o wyjazd do Rzymu z prowincji wielkopolskiej starają się: O. Dzierżek, O. Bulanda, O. Majkowski i O. Jańczak, natomiast z prowincji małopolskiej prowincjał O. Kuśmierz i dwóch innych. Wyjazd ma nastąpić w miesiącu maju. W tym też miesiącu ma się odbyć kongregacja i wybór nowego generała zakonu. Personalnie w zakonie nie wskazuje się kandydata na generała – jak twierdzi rozmówca – ale wymienia się grupy narodowościowe, które mogą przeforsować swoich kandydatów. Za takie grupy uważa się Włochów i Niemców. Stwierdził, że Polacy nie mają szans, ponieważ jest ich za mało.

Kpt. Kokot na rozmowy w kawiarni umawiał się telefonicznie, polecił jednak ks. Filipowiczowi, aby to on dzwonił na umówiony numer. 12 maja 1965 roku kapitan zwrócił się do naczelnika Wydziału IV SB w Poznaniu z „Wnioskiem o zezwolenie na przeprowadzenie pozyskania”. W czterostronicowym dokumencie przedstawiony został przebieg dotychczasowych kontaktów z księdzem, w tym omówienie przeprowadzonych rozmów. O jednej z nich funkcjonariusz napisał:

Wprawdzie na pytanie odpowiadał wstrzemięźliwie, ale nie starał się tłumaczyć, że rozmowa o sprawach zakonu koliduje z jego stanem duchownego. W rozmowach wykazał rzeczowość i zachowywał się taktownie. Spotkania wywoływał sam telefonicznie.

Funkcjonariusz SB przewidywał, że podczas kolejnego ks. Filipowicz będzie dopytywał się losy jego podania o paszport. Kpt. Kokot uznał, że jest to znakomita okazja do werbunku, ponieważ – jak twierdził – „kandydat (do pozyskania jako t.w. – przyp. RT) orientuje się, że bez naszej pomocy nie wyjedzie”. Pozostało tylko sprecyzować jak SB wyobraża sobie tę pomoc.

Niewątpliwie kandydat zapytał o jakiego rodzaju pomoc mu chodzi. Wtedy wyjaśnił kandydatowi, że chodzi mu o systematyczne kontaktowanie się ze mną i udzielanie tych informacji, którymi interesuje się służba bezpieczeństwa. Jeśli kandydat wyrazi zgodę – zaproponuję mu napisanie zobowiązania i poinstruję go o zachowaniu tego faktu w tajemnicy oraz o sposobie zachowania się w środowisku. W wypadku gdyby napisanie przez kandydata zobowiązania miało doprowadzić do zerwania pozyskania, to odstąpię od jego pobrania.

Rozmowa, prowadząca do pozyskania księdza jako tajnego współpracownika, odbyła się 14 maja, o czym kpt. Kokot in-

formował swoich przełożonych w przesłanym 10 czerwca 1965 roku „Wniosku o zatwierdzenie dokonanego pozyskania w charakterze TW”. Przebieg operacji, określanej jako „pozyskanie”, opisał bardzo dokładnie.

W dniu 14 V 1965 r. Kandydat wywołał telefonicznie spotkanie i po spotkaniu się przy moście Uniwersyteckim zaproponowałem mu miejsce rozmowy L.K. (lokal konspiracyjny, czyli mieszkanie do dyspozycji SB, w którym odbywały się spotkania z tajnymi współpracownikami – przyp. RT) krypt. „Przychodnia”. Z uwagi na wykazywane opory przez kandydata odbycia rozmowy w mieszkaniu, zaproponowałem kawiarnię „Merkury”, co przyjął bez większego zastanowienia. Sam zresztą dążył do tego, by spotkanie odbyło się w kawiarni. Po kilku ogólnych wstępach na różne tematy, kandydat nawiązał do sprawy wyjazdu do Francji i zapytał wprost o szanse załatwienia jego sprawy.

Kpt. Kokot poinformował księdza, że już w marcu zapadła decyzja odmowna, ale z niewiadomych przyczyn nie zostało wysłane odpowiednie zawiadomienie. Następnie Kokot odradzał interweniowanie w tej sprawie.

Kandydat jednak dalej pytał co ma w związku z tym zrobić. Wówczas oświadczyłem kandydatowi, że mógłbym się podjąć udzielenia mu pomocy w załatwieniu jego sprawy, lecz chciałbym, aby on również wykazał na tyle zrozumienia, że ja także mam pewne potrzeby służbowe i na ile on to zrozumie i przyjmie je, to będzie to podstawą do działania z mej strony w jego sprawie. Kandydat zorientował się z miejsca o co chodzi i zaczął mówić, że on się na to nie nadaje itp. Wtedy wyjaśniłem mu konkretnie, że chodzi mi o spotkanie się z nim tak jak dotąd w kawiarniach, w określonych terminach (raz w miesiącu) i przedyskutowanie tematów mnie interesujących, a dotyczących ich środowiska. Sprecyzowałem mu ten fakt bliżej na podstawie dotychczasowych naszych spotkań i przeprowadzonych rozmów na takie tematy. Po wyjaśnieniu mu tej sprawy kandydat wyraził zgodę na podjęcie współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Zastrzegając się o tyle, by nie traktować go jako osoby w charakterze „wtyczki” lub innego rodzaju. Innego określenia nie wypowiedział, choć wyraźnie odczułem, że je zna, lecz nie śmiał lub nie chciał tego wypowiedzieć. Zapewniłem go, że będę go traktował jako osobę i człowieka równego sobie bez żadnych innych określeń z tym, że sprawy które mnie interesują z ich środowiska będą przedmiotem naszych spotkań i rozmów, a on jako przedstawiciel będzie te sprawy w obiektywny sposób przedstawiał. Po tym wyjaśnieniu nie wnosił już żadnych zastrzeżeń.

Przebieg rozmowy nie upoważnił mnie do udokumentowania faktu wyrażenia zgody na współpracę przyjęciem od niego zobowiązania. Bowiem mogłoby to doprowadzić do zerwania pozyskania. Pobranie od niego zobowiązania może być aktualne po jakimś okresie współpracy i związania go z nami. Dalsza rozmowa odbyła się na tematy ich środowiska jezuitów w Poznaniu, co zawarte jest w doniesieniu.

Na zakończenie pouczyłem go o tym, by nie zmieniał swego zachowania i postawy w klasztorze i środowisku księży, o zachowaniu w tajemnicy faktu współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa oraz omówiłem z nim czas i miejsce spotkań. Uzgodniłem z t.w., że spotkania będzie on wywoływał telefonicznie, po uprzednim ustaleniu przybliżonego terminu na każdym spotkaniu.

Tajnemu współpracownikowi nadałem pseudonim „Janiszewski”.
St. Ofic. Oper. Wydziału IV
Kpt. A. Kokot

W rezultacie rozmowy, przeprowadzonej 14 maja 1965 roku, której celem było pozyskanie ks. Filipowicza jako tajnego współpracownika SB, już 19 maja major Edmund Ziętkiewicz, zastępca naczelnika Wydziału IV KWMO w Poznaniu, wysłał urzędowe pismo do naczelnika Wydziału I Departamentu IV MSW w Warszawie, dotyczące starań ks. Filipowicza o zezwolenie na czasowy wyjazd do Francji w okresie od 1 czerwca do 31 sierpnia 1965 roku. Pismo zostało opatrzone klauzulą „Tajne spec. znaczenia”.

(...) W związku z jego ubieganiem się o wyjazd do Francji, nawiązano kontakt operacyjny i przeprowadzono z nim kilka rozmów, podczas których przekazał niektóre interesujące nas informacje. Od początku pozytywnie ustosunkował się do spotkań i sam wywoływał je telefonicznie. Podczas ostatniej rozmowy w dniu 14. V. br. zaproponowano mu współpracę ze służbą bezpieczeństwa w zamian za umożliwienie mu wyjazdu do Francji. Na propozycję wyraził zgodę i zobowiązał się udzielać nam informacji. Ponieważ wymieniony zgodził się na współpracę pod warunkiem umożliwienia mu wyjazdu do Francji w bieżącym roku, twierdząc że w przypadku odmowy w przyszłym roku prowincjał nie wyrazi zgody na jego wyjazd, dlatego uważamy za wskazane udzielenie mu zezwolenia na wyjazd do Francji w oznaczonym wyżej terminie.

Ksiądz Filipowicz otrzymał paszport, umożliwiający mu wyjazd do Francji dopiero w połowie lipca, postanowił więc przedłużyć swój pobyt do końca września lub do początku października. Zanim wyjechał odbyły się jeszcze co najmniej dwa

spotkania księdza z kpt. Kokotem, jedno na przełomie czerwca i lipca (nie podano dokładnej daty, raport ze spotkania sporządzono 3 lipca), drugie 21 lipca, w przeddzień wyjazdu do Francji. Informacje na ten temat znajdują się w drugiej z teczek „Janiszewskiego”, przechowywanych w archiwum IPN.

Ta druga, to „Teczka pracy tajnego współpracownika”, używającego pseudonimu „Janiszewski”, zarejestrowana 23 czerwca 1965 roku i podobnie jak pierwsza z teczek, opatrzona numerem 7827. Zawiera 16 dokumentów liczących w sumie 34 strony. „Teczki pracy t.w.” służyły przechowywaniu donosów, dostarczanych przez tajnych współpracowników, notatek oficerów prowadzących, sporządzonych na podstawie tych donosów, a także dokumentów dotyczących operacyjnego wykorzystania gromadzonych materiałów.

W „Teczce pracy” znajdują się dwa „Doniesienia spisane ze słów t.w.” oraz „Notatka z odbytego spotkania z t.w.”. Pierwsza dotyczy rozmowy, w czasie której odbyło się pozyskanie: ks. Filipowicz przekazał informacje dotyczące obsady klasztoru w Poznaniu, a także stanu zdrowia poszczególnych zakonników oraz ich poglądów.

Starzy ojcowie, do których należy zaliczyć Kościńskiego, Zabdyra, Wilusza, Nowaka, Frączkowskiego, a także Karpińskiego, nie mogą pogodzić się z tym, że skonfiskowano posiadłości klasztorne i nie zgadzają się z obecnym stanem społeczno-politycznym i ustrojowym jaki został ukształtowany w Polsce. Są nieprzychylni do obecnego systemu. Są to ludzie obciążeni ówczesną przeszłością, starymi przyzwyczajeniami i przywiązaniem do pewnych zresztą przywilejów. Tych obciążeń, które każdy z nich nosi z osobna nie jest w stanie nikt i nic zmienić. Odmienne stanowisko reprezentują ojcowie młodszy i młodzi – Ożóg, Filipowicz, Szamburski i Sasin. Dla nich sprawa posiadłości klasztorów jest zupełnie obojętna, a nawet opowiadają się za tym, co się stało w kwestiach społeczno-politycznych, obecnej współczesności w Polsce opowiadają się w wielu sprawach zupełnie pozytywnie. Niejednokrotnie w dyskusjach ze starymi ojcami na ten temat dochodzi do kontrowersji i to w pewnym sensie podważa zaufanie pomiędzy jedną grupą a drugą.

Drugie z „Doniesień” dotyczy wizyty arcybiskupa Antoniego Baraniaka w kościele ojców jezuitów. Kpt. Kokot opatrzył je swoim obszernym komentarzem:

Informację o charakterze organizowanych imprez religijnych, przekazuje t.w. z pewną wstrzemięźliwością i trochę tendencyjnie. Widać z tego, że środowisko to bardzo go wiąże. Na temat abp. Baraniaka jakoś uchylał się od wyraźnej relacji z jego pobytu w klasztorze. Nie usiłowałem go zbytnio na ten temat indagować, ponieważ mógłby się zrazić. Tym bardziej, że t.w. jest trochę rozgoryczony przedłużającym się załatwianiem wyjazdu do Francji.

„Notatka” ze spotkania 21 lipca jest również lakoniczna. Kpt. Kokot przekazał ks. Filipowiczowi instrukcje dotyczące pobytu za granicą.

(...) omówiłem z nim jego stanowisko i reakcje na ewentualne propozycje ze strony wrogich ośrodków oraz osób (...) przyjął te zalecenia i poruczenia ze zrozumieniem. Jednocześnie omówiłem z nim sprawę przekazania relacji ze swych spostrzeżeń za granicą.

Ponadto w „Notatce” znalazły się informacje o aktualnej sytuacji w klasztorze.

W odniesieniu do klasztoru OO Jezuitów w Poznaniu t.w. nic ciekawego nie przekazał. Powiedział, że obecnie w klasztorze większość ojców jest nieobecna. Rektor O. Koźmiński przebywa na urlopie i jednocześnie poddaje się leczeniu. OO Frączkowski, Nowak i Szamburski przebywają aktualnie na misjach. W klasztorze pozostał tylko O. Zabdyr, który obecnie zastępuje rektora oraz O. Karpiński (chory), O. Kornacki i O. Wilusz. T.w. podał, że O. Kornacki wprowadzie w zakonie OO Jezuitów przebywa, ale nie jest jeszcze przyjęty na członka zakonu. Prawdopodobnie nie zostanie przyjęty z uwagi na brak możliwości wykorzystania go w zakonie.

Ojciec Filipowicz wyjechał do Francji 22 lipca 1965 roku, jednak nie wrócił jesienią, ale przedłużył swój pobyt o rok, uzyskując urlop dziekański na Uniwersytecie Poznańskim. Dlatego kolejne spotkanie z tajnym współpracownikiem mogło mieć miejsce dopiero 2 grudnia 1966 roku. Opisał je kpt. Kokot w „Notatce służbowej z odbytego spotkania z t.w. PS. «Jani-szewski»”. Przedstawił w niej między innymi trzystronicową relację ks. Filipowicza z pobytu we Francji.

Pytali mnie (francuscy Jezuici – przyp. RT) dużo o Polsce, jak się tu żyje i jak komuniści traktują niekomunistów. Odpowia-

dałem im zasadniczo obiektywnie i nie powiedziałem nic co mogłoby przynieść ujmę mnie i Polsce Ludowej. (...) W Lyonie miałem kazanie w Katedrze. Było to zasadniczo kazanie religijne, niemniej wtrącałem pewne sprawy patriotyczne dotyczące Polski. Mówiłem im o zniszczeniu kraju przez wojnę i wielkim wysiłku kraju w jego odbudowie. Powiedziałem też, że dzięki Najświętszej Panience mamy dzisiaj wolną ojczyznę. Po moim kazaniu na drugi dzień do proboszcza katedry ks. Skierniewskiego przyszła delegacja miejscowych Polaków z Lyonu, którzy zaprotestowali temu co powiedziałem w kazaniu iż Polska jest wolnym krajem i zarzucali mi, że jestem komunistą. Personalnie składu delegacji nie znam, gdyż nie pytałem o to ks. Skierniewskiego.

Kolejne spotkanie odbyło się 21 grudnia 1966 roku i poświęcone zostało przede wszystkim omówieniu dyskusji, toczących się w zakonie w związku z groźbami władz pod adresem seminariów jezuickich w Warszawie i Krakowie, które odmówiły poddaniu się kontroli ze strony świeckich władz oświatowych. W „Notatce służbowej” na ten temat, obok przytoczenia wypowiedzi ks. Filipowicza znalazł się również komentarz kpt. Kokota:

Spotkanie odbyłem w kawiarni „Wrzos” od godz. 17.30 – 20.00. T.w. w początkowej fazie spotkania uwidaczniał wyraźne zdenerwowanie faktem decyzji władz wobec ich seminariów. Niechętnie nawet początkowo informował o tych sprawach. Kiedy jednak zwróciłem mu uwagę, iż nie ma potrzeby wykazywać takiego stosunku przede wszystkim w rozmowie ze mną i gdy wyraziłem pogląd, że sprawy te mogą mieć zupełnie pomyślnie zakończenie jeśli władze kościelne wykażą w tej sprawie trochę dobrej woli, wówczas zmienił swój stosunek. (...) W czasie przekazywania informacji t.w. nie podawał nazwisk, gdyż twierdził, że wszyscy zakonnicy tak mówią.

Na spotkaniu tym wręczyłem t.w. po raz pierwszy wynagrodzenie – prezent – wieczne pióro „Montblau” wartości 500 zł. Nie chciał początkowo przyjąć tego prezentu, ale dałem mu do zrozumienia, że jest to prezent gwiazdkowy i ma symbolizować naszą przyjaźń. Oświadczył więc, że jeśli ma to mieć znaczenie dla naszej przyjaźni to prezent przyjmuje.

Warto dodać, że wśród dokumentów zachowany został również rachunek z komisju, opiewający na kwotę 500 zł.

Kolejna „Notatka służbowa” kpt. Kokota informuje, że „Janiszewski” na spotkanie w dniu 23 stycznia 1967 roku nie przyszedł. Z kolei z „Notatki służbowej” ze spotkania 17 kwietnia

1967 roku wynika, że ksiądz nie przyszedł również na spotkanie 29 marca, tłumacząc się zachorowaniem na grypę.

Spotkanie 17 kwietnia było prawdopodobnie ostatnim kontaktem kpt. Kokota z ks. Filipowiczem na terenie Poznania. Omawiano między innymi wizytę ks. Mruka, asystenta generała zakonu Jezuitów, w klasztorach w Krakowie i Poznaniu, a następnie wizytę ks. prałata Casaroli w Polsce. Następny fragment rozmowy dotyczył Rogera Dupont, lektora języka francuskiego, o którego zapewne pytał funkcjonariusz SB. Spotkanie odbyło się w kawiarni „Wrzos” i zakończyło umówieniem się na 20 czerwca. Do tego spotkania jednak znów nie doszło, ponieważ ks. Filipowicz, bez uprzedzenia SB, wyjechał na stałe do Krakowa.

W ciągu następnych miesięcy kontakt między oficerem prowadzącym, a ks. Filipowiczem” został przerwany. Konsekwencją tego faktu stało się wypełnienie przez kpt. Kokota „Wniosku o zaniechanie współpracy z tajnym współpracownikiem”, datowanego 7 lutego 1968 roku.

Analizując przebieg dotychczasowej współpracy z w/w t.w. stwierdziłem co następuje: Dotychczasowa współpraca z nim układała się zadowalająco. Przekazywał informacje ciekawe i potrzebne dla rozpoznawania środowiska i sytuacji, w którym przebywał. Informacje przekazywał ustnie. Są one obiektywne i prawdziwe. Na spotkania umówione przychodził punktualnie.

Będąc na terenie Poznania studiował jednocześnie romanistykę na UAM. W czerwcu br. wyjechał do macierzystego klasztoru w Krakowie, a w lipcu br. decyzją Prowincjała został wyznaczony na wykładowcę języka francuskiego W.S.D. OO Jezuitów w Krakowie.

Ponieważ nie było pewności, czy pozostanie w Krakowie, gdyż nie ukończył studiów w Poznaniu, dlatego postanowiono odczekać do chwili rozpoczęcia nowego roku akademickiego. Dnia 20 X 1967 r. Został wymeldowany do Krakowa. Formalności z przeniesieniem z UAM w Poznaniu na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie załatwił dopiero w styczniu br. Wydział IV w Krakowie ustalił ponad wszelką wątpliwość, że wymieniony przebywa na stałe w Krakowie i jest studentem tamtejszej uczelni, o czym powiadomił nas telefonicznie w miesiącu styczniu br. kpt. Chojnacki.

Z uwagi na fakt, że t.w. PS. „Janiszewski przebywa na stałe w Krakowie, dlatego uważam przesłać teczkę personalną i teczkę pracy t.w. do Wydziału IV w Krakowie i przekazać go na łączność temu wydziałowi.

19 lutego 1968 rokuteczka personalna i teczka pracy zostały przekazane do Wydziału IV Służby Bezpieczeństwa w Krakowie. Z zachowanej korespondencji pomiędzy Wydziałem „C” (archiwum SB) w Krakowie oraz Wydziałami IV w Krakowie i Poznaniu wynika, że przekazanie tajnego współpracownika funkcjonariuszom krakowskim planowano początkowo w kwietniu 1968 roku, do czego jednak nie doszło z winy SB w Poznaniu. W tej sprawie monit z Krakowa został wysłany do Poznania 18 lipca 1968 roku. W odpowiedzi Poznań obiecał, że przekazanie nastąpi w sierpniu, jednak i ten termin nie został dotrzymany.

Ostatecznie spotkanie kpt. Kokota z ks. Filipowiczem odbyło się dopiero 24 września 1968 roku w krakowskiej kawiarni „Jama Michalika”. Po krótkim omówieniu okoliczności przeniesienia ks. Filipowicza do Krakowa oraz po jego deklaracji, że w marcowych demonstracjach studenckich nie brał udziału („był tylko raz na pierwszym wiecu zorganizowanym na UJ”), funkcjonariusz SB z Poznania przystąpił do procedury „przekazywania tajnego współpracownika”.

Na zakończenie oświadczyłem t.w., że zbyt daleka odległość nas obecnie dzieli i dlatego proponowałbym mu poznanie pracownika służby bezpieczeństwa z Krakowa, z którym będzie się kontaktował. Będzie też mógł wtedy liczyć na jego pomoc w różnych sprawach na zasadzie wzajemności.

T.w. zgodził się na moją propozycję, wobec czego poprosiłem obecnego w kawiarni kpt. Chojnackiego do stolika, którego zapoznałem z t.w. Kpt. Chojnacki po krótkiej rozmowie z t.w. umówił z nim spotkanie w tej samej kawiarni na dzień 26. IX. br. o godz. 15.00.

Spotkanie to odbyło się w umówionym terminie i zostało opisane w „Notatce”, napisanej przez kpt. Józefa Chojnackiego. Rozmowa trwała dość długo i między innymi dotyczyła niedawnego wyjazdu ks. Filipowicza do Francji, a także ogólnej oceny sytuacji w stosunkach pomiędzy państwem a Kościołem, ze szczególnym uwzględnieniem zakonu ojców jezuitów. Na konkretne pytania odpowiadał wymijająco, a gdy Chojnacki spytał o dwóch krakowskich jezuitów, odpowiedział „że on nie będzie udzielał wywiadów o swoich kolegach”. Wiele natomiast mówił o tym, jak mało ma czasu w związku z kończeniem studiów i czytaniem obcojęzycznych lektur. Na koniec uprzedził funkcjonariusza SB, że o spotkaniu powinien powiadomić swojego

przełożonego, ponieważ „w sumieniu byłby daleko nie w porządku jeśli przełożony o tym nie wiedziałby”.

Być może z tego właśnie powodu nastąpiła przerwa w kontaktach SB z ks. Filipowiczem. Kolejne opisane w dokumentach spotkanie odbyło się dopiero 13 maja 1969 roku. Rozmowa dotyczyła trzech głównych tematów: przyjazdu do Polski generała zakonu jezuitów o. Piotra Aruppe i jego wizyt w Warszawie i Krakowie; planowanego tłumaczenia przez ks. Filipowicza jednej z książek o. Aruppe; sytuacji jezuitów w świecie po aresztowaniach kilku ojców w Hiszpanii po rozruchach w Barcelonie; atmosfery wśród studentów krakowskich w związku ze zbliżającym się terminem Juwenaliów. Spotkanie trwało godzinę i kpt. Chojnacki nie mógł pochwalić się uzyskaniem ciekawych informacji.

W dwa dni później kpt. Chojnacki spisał „Uwagi dot. t.w. Janiszewski”, w których zanotował między innymi:

Stosunek do kontaktów ze mną. Nie wykluczył ich, jednak jak twierdzi czyni to za wiedzą przełożonego. Kiedyś rektora, a o spotkaniu dzisiejszym powiadomił zastępującego go ministra. Na co ten pytał: a co kiedyś rektor powiedział? Więcej tej sprawy nie roztrząsałem nie uznając za celowe. Rektor nie zabronił mu tej rozmowy.

Z punktu widzenia zasad działania SB, tajny współpracownik komukolwiek ujawniający fakt swojej współpracy, staje się bezwartościowy, a nawet niebezpieczny. Nic więc dziwnego, że opisane spotkanie mogło być ostatnim kontaktem ks. Filipowicza z funkcjonariuszami bezpieki. Tym bardziej, że wkrótce wyjechał do Włoch i już tam pozostał. 10 stycznia 1970 roku dotyczące go dokumenty zostały przekazane do archiwum SB z następującą adnotacją:

W trakcie podejmowanych prób kontynuowania współpracy t.w. wyjechał na czas nieokreślony za granicę i przebywa aktualnie we Włoszech.

W teczkach przechowywanych obecnie w Oddziale IPN w Krakowie są jeszcze dwa dokumenty świadczące o zainteresowaniu SB ks. Filipowiczem w 1971 i 1974 roku, lecz ograniczało się ono do lektury dotyczących go dokumentów.

Co wynika z zachowanych dokumentów Służby Bezpieczeństwa? Ojciec Stefan Filipowicz był w 1959 roku obecny na spotkaniu Świadków Jehowy. Bezpieka, która dowiedziała się o tym w sposób pośredni (czytając czyjąś korespondencję), wykorzystła ten fakt do przeprowadzenia nieformalnego przesłuchania księdza. Okazało się wówczas, że na spotkaniu Świadków Jehowy był za wiedzą swoich przełożonych, upadła więc koncepcja szantażu za pomocą groźby poinformowania o tym fakcie zakonu jezuitów. Ksiądz podpisał rutynowe wówczas zobowiązanie, że fakt przesłuchania zachowa w tajemnicy.

W ciągu kilku następnych lat o. Filipowicz wymieniany był w rozmaitych donosach, ale SB nie podjęła próby kontynuowania nawiązanego kontaktu. Sytuacja uległa zmianie dopiero w końcu 1963 roku, gdy – po wyjeździe księdza do Poznania – krakowski Wydział IV bezpieki sformułował pod adresem swoich poznańskich kolegów następującą sugestię: ks. Filipowicza trzeba pozyskać jako tajnego współpracownika lub skłonić do opuszczenia zakonu. W razie, gdyby działania te nie przyniosły rezultatu, należy doprowadzić do wyrzucenia księdza z Uniwersytetu Poznańskiego (i tym samym spowodować jego powrót do Krakowa).

W Poznaniu zwlekano z wykonaniem zaplanowanego w Krakowie zadania, aż do początku 1965 roku, gdy okazję do podjęcia próby werbunku dostarczył sam ksiądz, składając podanie o paszport. W lutym i marcu kpt. Kokot z poznańskiej SB przeprowadził z nim trzy rozmowy, sugerując coraz bardziej stanowczo, że otrzymanie zgody na wyjazd zależy wyłącznie od opinii bezpieki. Nie trzeba wyjaśniać, czym w połowie lat sześćdziesiątych był wyjazd na Zachód i jaką okazję – lepszego poznania języka, a także studiów w atmosferze wolnej od strachu i niedostatku – taki wyjazd stwarzał dla młodego księdza. O. Filipowicz spotykał się z funkcjonariuszem SB, prowadził z nim ożywione dyskusje i starał się sprawiać wrażenie osoby pozytywnie nastawionej do panującego w Polsce reżimu komunistycznego. Kpt. Kokot uznał to za dobrą prognozę do werbunku i zaproponował swoim przełożonym formalne pozyskanie jezuitę jako tajnego współpracownika.

Zasadnicza rozmowa odbyła się w maju i w jej trakcie o. Filipowicz zobowiązał się, według relacji kpt. Kokota, podtrzymy-

wać kontakt z SB. Ksiądz podjął ryzykowną grę, w której miał nadzieję przechytryć bezpiekę: przecież skoro wyjedzie do Francji, to nie będzie się musiał z nikim spotykać. Uważał również, że przekazywane informacje są mało wartościowe lub ogólnie znane. Z kolei kpt. Kokot uznał, że dobrze wykonał pierwszy krok, za którym pójda następne, coraz bardziej wiążące księdza w rolę konfidenta. Kokot odstąpił od żądania podpisania przez księdza pisemnego zobowiązania, ponieważ uznał, że takie żądanie mogłoby „spłoszyć” obiekt jego zabiegów. Nadał jednak księdzu pseudonim – jak twierdzi dziś o. Filipowicz – bez jego wiedzy.

Aby deklaracja współpracy stała się faktem, bezpieka opóźniła wyjazd księdza (z czerwca na koniec lipca) i w tym czasie przeprowadziła z nim kolejne spotkania. W dokumentach SB nie ma wzmianki o odmowie księdza przyjęcia paszportu w zamian za współpracę z bezpieką. O. Filipowicz wyjechał w końcu lipca, ale zamiast powrócić po dwóch miesiącach, przedłużył swój pobyt o rok. Dlatego dwie kolejne rozmowy odbyły się dopiero w końcu 1966 roku. O. Filipowicz informował o swoim pobycie we Francji, opowiadał także o nastrojach wśród poznańskich jezuitów. Nie powiedział niczego – w jego mniemaniu – ważnego, przyjął jednak prezent w postaci drogiego pióra. Kpt. Kokot zanotował, że ksiądz początkowo wzbraniał się przed przyjęciem prezentu, w końcu jednak uległ.

Jednak o. Filipowicz nie był cennym nabytkiem dla SB. Na kolejne dwa spotkania nie przyszedł, pojawił się dopiero w kwietniu 1967 roku. W dodatku kpt. Kokot nabrał podejrzeń, czy przypadkiem ksiądz nie informuje przełożonych o swoich spotkaniach. Dla bezpieki fakt ujawnienia przez konfidenta faktu współpracy z SB całkowicie przekreślał jego użyteczność i skłaniał do natychmiastowego zerwania kontaktów. W czerwcu ksiądz znów nie przyszedł na umówione spotkanie i – jak się wkrótce okazało – wyjechał na stałe do Krakowa.

Operacja przejęcia księdza przez krakowską bezpiekę odwlekała się przez przeszło rok. Dopiero we wrześniu 1968 roku miały miejsce dwa spotkania w Krakowie, jednak podczas drugiego z nich o. Filipowicz kategorycznie odmówił informowania funkcjonariusza SB na temat swoich współpracowników z zakonu, a także oświadczył, że o rozmowach poinformuje przełożonych. Ten fakt spowodował przeszło półroczną przerwę, a na kolejną, sondażową rozmowę kpt. Chojnacki, krakowski „oficer pro-

wadzący” o. Filipowicza, zdecydował się dopiero w maju 1969 roku. Pretekstem do spotkania stał się kolejny wniosek księdza o zgodę na wyjazd do Francji. Gdy i tym razem o. Filipowicz zastrzegł, że o spotkaniu poinformuje władze zakonu, SB zdecydowała się zawiesić dalsze kontakty. Ponieważ po kilku miesiącach o. Filipowicz wyjechał do Rzymu, próby wznowienia spotkań już nie podjęto. Być może od zainteresowania ze strony Wydziału I SB (tzw. wywiad) o. Filipowicza uchroniła opinia osoby, która o tajnych kontaktach informuje swoje władze zakonne.

Tyle można wywnioskować z zachowanych i odnalezionych dotąd dokumentów. Podsumowując ich omówienie można stwierdzić, że według procedur i przepisów bezpieczeństwa o. Stefan Filipowicz w latach 1965-1969 był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, jednak informacje przekazywał niechętnie i głównie takie, które uważał za nieszkodliwe. W sumie odbył trzy spotkania jako kandydat na tajnego współpracownika oraz dziewięć spotkań jako tajny współpracownik (sześć w Poznaniu i trzy w Krakowie). Podczas ostatnich dwóch spotkań energicznie zmierzał do zerwania współpracy. Przez cały czas kontaktów z SB nie podpisał żadnych zobowiązań ani donosów. Sam uważał i uważa nadal, że kontakty z funkcjonariuszami nie oznaczały, że podjął tajną współpracę z bezpieczeństwem. Poznane dotąd dokumenty nie pozwalają stwierdzić czy i w jakim zakresie SB wykorzystywała uzyskane od o. Filipowicza informacje.

Ryszard Terlecki

Stefan Filipowicz

Uwagi do tekstu profesora Ryszarda Terleckiego

Przeczytałem z uwagą powyższe opracowanie profesora Ryszarda Terleckiego i składam wyrazy uznania dla jego rzetelności. Z mojej strony pragnę się odnieść głównie do przytoczonych w nim wypowiedzi oficerów UB. Niewdzięczna to rola, bo muszę udowadniać, że nie jestem słoniem i wykazywać, że opowieści bezpieki nie mają charakteru niepodważalnej prawdy, choć niektórzy mają do nich pełne zaufanie.

Czytelnika zachęcam do zapoznania się także zamieszczonym poniżej listem, jaki skierowałem do mojego przełożonego, po otrzymaniu informacji, że w IPN przy moim nazwisku są litery „TW”.

Przytoczone wyżej dokumenty UB podają, że zostałem mianowany TW (tajnym współpracownikiem bezpieki) na podstawie dobrowolności, czyli że się zgodziłem na współpracę.

Przy składaniu kwestionariusza o paszport (w maju 1965 r.) i dopytywaniu się o odpowiedź, normalnie każdy petent odbywał rozmowę lub kilka rozmów z urzędnikiem – czytaj: przedstawicielem bezpieki w biurze paszportowym. Paszport otrzymałem nie bez kłopotów i wróciłem z Francji pod koniec września 1966 r.

Jeżeli prawdą by było, że zgodziłem się na współpracę, to dlaczego kpt. Kokot (odtąd: „KK”) zataił fakt, że nie przyjąłem paszportu na początku lipca 1965 r. i nie mówi nic o szczegółach, jakie miały miejsce przy jego przyjmowaniu dopiero w drugiej połowie lipca 1965 r.? (patrz „List do o. Prowincjała” nr 15; odtąd: „List”).

Skoro uważany byłem za TW, to dlaczego – jak pisze „KK” – dopiero „wznowiono z nim rozmowy w grudniu 1966”, gdy ja wróciłem z Francji we wrześniu?

Od tego czasu „odbyto z nim trzy spotkania, bowiem w miesiącu czerwcu TW wyjechał z Poznania”. Wyjechałem z Poznania w czerwcu 1967 r., między innymi dlatego, że miałem dość nachodzenia „KK” i liczyłem, że UB zapomni o mnie.

W raporcie „KK” pisze: „informacje są dość wartościowe”. Chyba „KK” nie wiązał ze mną wielkich nadziei, skoro ocenia moje słowa jedynie jako „dość”. W rzeczywistości nie niosły z sobą żadnych istotnych czy ważnych informacji, bo np. abp. Casaroligo czy o. Mruka nawet nie widziałem.

„KK” pisze o mnie: „nie wykazywał niechęci w przychodzeniu na spotkania”, a dalej (w tym samym raporcie): „jest on niezbyt chętny do współpracy” oraz: „sam nie wywołał spotkania”, a następnie: „wykazuje jeszcze wstrzeźliwość w ich (informacji) przekazywaniu” i wreszcie: „TW nie jest jeszcze jednostką sprawdzoną... nie ma pewności, czy jego kontakt ze służbą bezpieczeństwa jest zachowany w tajemnicy przed przełożonymi”.

Nie był zachowany w tajemnicy, dlatego w raporcie czytamy, że „powiedział o. Zabdyrowi (przełożonemu), że chodzi do biura paszportów”. Określenie „do biura paszportów” jest fałszywym eufemizmem, bo w rzeczywistości przełożonemu mówiłem jasno, że idę na spotkanie z urzędnikiem UB od paszportów. „KK” wyciąga wniosek z mojego zachowania, które dla niego jest jasnym dowodem, że rozmówca, czyli ja „konspiruje kontakty ze służbą bezpieczeństwa”, gdy tymczasem było odwrotnie. „KK” podpira się dodatkowo twierdzeniem, że przychodziłem „po cywilu”, a przecież wtedy chodziłem wyłącznie po cywilu, bo księża nie mogli studiować w PRL-u na uniwersytetach państwowych.

Słowa „KK” są nadinterpretacją moich zachowań i powiedzeń. „KK” z pewnością chciał wykazać swoją aktywność wobec wyższych władz.

Interesująca jest uwaga por. Godka z warszawskiego UB, z 1959 r., że „nosiłem się z zamiarem wystąpienia z zakonu”.

Już wtedy, gdy jeszcze byłem klerikiem, bez żadnych podstaw z mojej strony, szukano okazji do „pozyskania” mnie, jak to określa żargon UB. Szerokie wyjaśnienie na temat warszawskiego wydarzenia, które było formalnym porwaniem mnie – bo tak to trzeba nazwać – z Poczty Głównej do Pałacu Mostowskich podałem w „List” nr 12.

Po długim przesłuchaniu w Pałacu Mostowskich podpisałem, rzekomo, zobowiązanie, że rozmowę zachowam w tajemnicy przed osobami trzecimi. Otóż pamiętam, że podpisałem kilkustronicowy protokół przesłuchania z moimi poprawka-

mi, natomiast zupełnie nie pamiętam, żebym podpisywał jakiś osobny dokument zobowiązujący mnie do tajemnicy przed osobami trzecimi. A zresztą dla mnie przełożony nie był i nie jest osobą trzecią, dlatego po powrocie poinformowałem go o pobycie na UB i, dodatkowo, wcale – o ile pamiętam – tego nie ukrywałem przed innymi, ponieważ jakiegokolwiek zobowiązanie pod przymusem (a w Pałacu Mostowskich to był przymus!) jest nieważne. Podpisanie podobnego zobowiązania byłoby równoznaczne z przejściem na drugą stronę i zanegowaniem tożsamości zakonnika, której istotą jest łączność z przełożonym. Dla mnie jest to sprawa podstawowa.

Zupełnie nie pamiętam, bym przyjął propozycję spotkania na Poczcie Głównej w Warszawie, o którym pisze por. Godek, choć nie jest wykluczone, ponieważ por. Godek – nie mówiąc, kim faktycznie jest – powiedział telefonicznie, że „rodzice moi prosili go, abym się z nim spotkał”, co było wierutnym kłamstwem, bo rodzice nikogo mi nie polecali.

Interesujące są wiadomości na mój temat z 1962 r. Wtedy byłem już w Krakowie, robiłem maturę dla pracujących, ponieważ miałem podjąć studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, prowadziłem koło ministrantów i z nimi urządziłem jasełka. Niestety, zostałem zadenuncjowany przez jednego ze współbraci i otrzymałem wezwanie na Kolegium Karnoorzekające. Przykład to jasny na zniewolenie mojego współbrata, a z drugiej strony na usiłowanie zniewolenia także i mnie. (Szerzej o tym „List” nr 13).

Nie przyjęty na UJ (mimo zdanego egzaminu) w tym samym 1963 roku dostałem się na uniwersytet w Poznaniu. W kolejnym raporcie UB z Krakowa do swojego odpowiednika w Poznaniu z listopada tegoż roku czytamy zalecenia, jakie należy w stosunku do mnie zastosować: „pozyskanie do współpracy, spowodowanie wystąpienia z zakonu ... wydalenie z uniwersytetu” (patrz także „List” nr 16).

Od tego czasu do 1965 r. mijają prawie dwa lata. UB – chciałbym wierzyć – zapomniało o mnie, ale, jak się okazuje, tylko do czasu starania się o paszport.

„KK” pisze w swoim raporcie między innymi, że „spotkania wywoływałem telefonicznie”. Nic bardziej nieprawdziwego.

Absolutnie nie mam świadomości, że do niego kiedykolwiek dzwoniłem, choć on pewno tego pragnął dla swoich celów. (Na ten temat czytaj „List” nr 15).

Nie zgodziłem się także na spotkanie w LK (lokalu konspiracyjnym). „KK” pisze: „Z uwagi na wykazywane opory przez kandydata odbycia rozmowy w mieszkaniu, zaproponowałem kawiarnię”. Spotkanie w kawiarni dawało mi możliwość spotkania znajomych, którzy ewentualnie mogli się przypatrzeć przedstawicielowi bezpieczeństwa. I tak rzeczywiście się trafiło.

Na temat zależności otrzymania paszportu od współpracy z bezpieczeństwem „KK” pisze: „Kandydat zorientował się z miejsca, o co chodzi i zaczął mówić, że on się na to nie nadaje”. Następnie „KK” dodaje: „po wyjaśnieniu mu... kandydat wyraził zgodę na podjęcie współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa”. Z pewnością on by tak chciał, gdy tymczasem prawda jest taka, że nie zgodziłem się na żadną współpracę, a „KK” pisze o sobie, że „przebieg rozmowy nie upoważnił mnie do udokumentowania faktu wyrażenia zgody”, ale równocześnie wmawia mi takie treści: „uzgodniłem z t.w., że spotkania będzie on wywoływał telefonicznie”. Czyż można z tego wyciągnąć wniosek, że współpracowałem z bezpieczeństwem?!

Po powyższych słowach „KK” stwierdza: „tajnemu współpracownikowi nadałem pseudonim «Janiszewski»”. O tym dowiedziałem się dopiero z dokumentów przechowywanych w IPN.

W przytoczonych wypowiedziach majora Ziętkiewicza z Poznania, uzasadniających potrzebę wydania mi paszportu czytam o sobie: „pozytywnie ustosunkowywał się do spotkań i sam je wywoływał... zaproponowano mu współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa w zamian za umożliwienie mu wyjazdu do Francji... zobowiązał się udzielać nam informacji”. Tymczasem przytaczane przez majora Ziętkiewicza rzekomo moje wypowiedzi z 14 maja 1965 r. w raporcie „KK” wyglądają inaczej. „KK” pisze: „zaczął mówić, że on się na to nie nadaje itp.” oraz dalej: „Wtedy wyjaśniłem mu... kandydat wyraził zgodę... nie wnosił żadnych zastrzeżeń”. I po tym przychodzą słowa już cytowane: „Przebieg spotkania nie upoważnił mnie do udokumentowania faktu wyrażenia zgody...”.

Jeżeli spojrzeć na przytaczane przez UB moje wypowiedzi, to są one wyraźnie zdawkowe i dotyczą rzeczy powszechnie znanych, by wspomnieć o informacjach o jezuitach, o których „KK” pisze: „W odniesieniu do klasztoru... t.w. nic ciekawego nie przekazał”, czy o imprezach religijnych, także tych po powrocie z Francji, które – jak pisze „KK” – „TW przekazuje z pewnością wstrzeźliwością i trochę tendencyjnie... uchylał się od wyraźnej relacji z pobytu (abp. Baraniaka) w klasztorze”. Moją dewizą było: najlepiej nic nie mówić, a jeżeli już to tak mówić, by nic nie powiedzieć.

W czasie grudniowego spotkania w 1966 r. „KK” pisze, że: „uwidaczniał wyraźne zdenerwowanie faktem decyzji władz wobec ich seminariów... niechętnie informował o tych sprawach... nie podawał nazwisk...”.

Dalsze zdania „KK” są pełne namaszczenia i życzliwości, na jaką tylko mógł się zdobyć przekonany, że to podziła. Więcej, poparł je podarunkiem. „KK” pisze: „wręczyłem TW po raz pierwszy wynagrodzenie-prezent – wieczne pióro «Montblau» (sic!) wartości 500 zł. Nie chciał przyjąć tego prezentu, ale dałem mu do zrozumienia, że jest to prezent gwiazdkowy...”.

W tym miejscu „KK” perfidnie posłużył się określeniem, że „jest to prezent gwiazdkowy i ma symbolizować naszą przyjaźń”. Czyż to nie jest pełny obraz zakłamania wytrenowanych urzędników bezpieki.

Dalej „KK” wkłada w moje usta słowa nigdy nie wypowiedziane: „jeśli ma to mieć znaczenie dla naszej przyjaźni, to prezent przyjmuję”. O nieba! Ja i przyjaźń z tym, który mnie nagabywał, nachodził, psychicznie maltretował! (Szerzej na ten temat patrz: „List” nr 15).

Z mojej strony z pewnością przyjęcie pióra nie było rzeczą mądrą, bo „KK” zinterpretował je jako „wynagrodzenie”, a mnie fałszywie mówił o „prezencie”, którego ani nie oczekiwałem, ani nie potrzebowałem.

Na kolejne spotkania – pisze „KK” – „nie przyszedł”. Miałem tego wszystkiego szczerze dość i wyjechałem w czerwcu 1967 r., by dokończyć studia na UJ-cie.

W lutym 1968 r. „KK” napisał wniosek o zaniechanie współpracy ze mną. UB jednak nie zapomniało o mnie i krakowscy słudzy komunizmu w styczniu 1968 r. poprosili Poznań o moją teczkę

Jeżeli spojrzeć na przytaczane przez UB moje wypowiedzi, to są one wyraźnie zdawkowe i dotyczą rzeczy powszechnie znanych, by wspomnieć o informacjach o jezuitach, o których „KK” pisze: „W odniesieniu do klasztoru... t.w. nic ciekawego nie przekazał”, czy o imprezach religijnych, także tych po powrocie z Francji, które – jak pisze „KK” – „TW przekazuje z pewnością wstrzeźliwością i trochę tendencyjnie... uchylał się od wyraźnej relacji z pobytu (abp. Baraniaka) w klasztorze”. Moją dewizą było: najlepiej nic nie mówić, a jeżeli już to tak mówić, by nic nie powiedzieć.

W czasie grudniowego spotkania w 1966 r. „KK” pisze, że: „uwidaczniał wyraźne zdenerwowanie faktem decyzji władz wobec ich seminariów... niechętnie informował o tych sprawach... nie podawał nazwisk...”.

Dalsze zdania „KK” są pełne namaszczenia i życzliwości, na jaką tylko mógł się zdobyć przekonany, że to podziła. Więcej, poparł je podarunkiem. „KK” pisze: „wręczyłem TW po raz pierwszy wynagrodzenie-prezent – wieczne pióro «Montblau» (sic!) wartości 500 zł. Nie chciał przyjąć tego prezentu, ale dałem mu do zrozumienia, że jest to prezent gwiazdkowy...”.

W tym miejscu „KK” perfidnie posłużył się określeniem, że „jest to prezent gwiazdkowy i ma symbolizować naszą przyjaźń”. Czyż to nie jest pełny obraz zakłamania wytrenowanych urzędników bezpieki.

Dalej „KK” wkłada w moje usta słowa nigdy nie wypowiedziane: „jeśli ma to mieć znaczenie dla naszej przyjaźni, to prezent przyjmuję”. O nieba! Ja i przyjaźń z tym, który mnie nagabywał, nachodził, psychicznie maltretował! (Szerzej na ten temat patrz: „List” nr 15).

Z mojej strony z pewnością przyjęcie pióra nie było rzeczą mądrą, bo „KK” zinterpretował je jako „wynagrodzenie”, a mnie fałszywie mówił o „prezencie”, którego ani nie oczekiwałem, ani nie potrzebowałem.

Na kolejne spotkania – pisze „KK” – „nie przyszedł”. Miałem tego wszystkiego szczerze dość i wyjechałem w czerwcu 1967 r., by dokończyć studia na UJ-cie.

W lutym 1968 r. „KK” napisał wniosek o zaniechanie współpracy ze mną. UB jednak nie zapomniało o mnie i krakowscy słu-

dzy komunizmu w styczniu 1968 r. poprosili Poznań o moją teczkę. Nie wiadomo, z jakich powodów przypomnieli sobie o mnie dopiero pod koniec września 1968 r., kiedy – jak pisze „KK” – nastąpiło „przekazanie” mnie jego odpowiednikowi w Krakowie i dodaje: „TW zgodził się na moją propozycję”. Ponownie jest to życzeniowe stwierdzenie „KK”, a nie moje nastawienie, a tym mniej, moja decyzja. (Na ten temat czytaj: „List” nr 17).

Do maja 1969 r. miałem spokój ze strony UB, ale w maju ponownie mnie wezwali. Może wiedzieli od swoich konfidentów, że mam jechać do Radia Watykańskiego – przecież o tym mówiło się w klasztorze?! Tym razem odpowiednik „KK” w Krakowie niejaki Chojnacki pisze, że pytał mnie o dwóch krakowskich jezuitów i podaje moją odpowiedź: „on (czyli ja) nie będzie udzielał wywiadów o swoich kolegach” i dodaje, że wszystko zrelacjonuje przełożonemu, „bo w sumieniu byłby daleko nie w porządku, jeśli przełożony o tym nie wiedziałby”.

Chojnacki pisze w raporcie o mnie: „kontaktów nie wykluczył, jednak jak twierdzi czyni to za wiedzą przełożonego, kiedyś rektora, a o spotkaniu dzisiejszym powiadomił zastępującego go ministra”. Ministrem był wtedy o. Stoch.

W przytaczanych raportach UB powraca często określenie: „pouczyłem go” oraz „on je przyjął”, „nie wnosił zastrzeżeń”, „gdy wyraziłem pogląd... wówczas zmienił swój stosunek... nie podawał nazwisk” itp. Z tego wynikałoby, że UB mnie przekonało i ja jak pokorny uczeń spełniałem to, co mi powiedziano. Przecież to jest tyle perfidne, co uwłaczające. Dobrze wiedziałem, co mam o tym myśleć i jak postępować. Nie na darmo przecież byłem kilka godzin w Pałacu Mostowskich! W raportach natomiast skąpo jest o tym, że zawsze zapewniałem o informowaniu o wszystkim przełożonych, a ja w życiu nie kłamałem.

* * *

Podsumowując moje uwagi, chciałbym podkreślić, że:

- nigdy nie podpisywałem żadnego zobowiązania współpracy z UB;
- nigdy też nie zgadzałem się w sumieniu na tajny kontakt z funkcjonariuszem UB;

- podobnie nie udzielałem informacji funkcjonariuszowi UB, przy czym, jasnym jest chyba, że rozmowa z natury swojej nie jest udzielaniem informacji, chociaż jest taką w oczach funkcjonariuszy UB;
- nigdy nie dawano mi żadnych zadań do wykonania, chociaż były sugestie w tym kierunku;
- podobnie nie przyjmowałem wynagrodzenia ani nie otrzymałem przywilejów (patrz odrzucenie przeze mnie przyjęcia paszportu na początku lipca 1965 r.);
- o moich, koniecznych ze względu na starania o paszport, kontaktach regularnie byli informowani moi przełożeni, o czym mówiłem także przedstawicielom bezpieki;
- różne były usiłowania pozyskania mnie dla bezpieki, ale – stwierdzam to jeszcze raz – nie współpracowałem z nią, o czym świadczą także raporty UB;
- wreszcie, nie mogę się zgodzić z nadawaniem znajdującego się w IPN raporcie UB charakteru nieomyślności i uważam, że nieodpowiedzialna lustracja, której i ja padłem ofiarą, sprawia, że w ten sposób kontynuuje się dzieło zdelegalizowanego już przecież UB, nastawionego na zniewolenie Kościoła i całego narodu. Konsekwencje ich działania w formie znieśławienia mnie w opinii publicznej stanowi zemstę epoki PRL-u.

Stefan Filipowicz SJ